NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 8 lutego 1913. Nr. 6.

Wojna kobiet.

(Treść na str. 2).



Nr. 6 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Nowe zawikłania na Bałkanach. — Rumunia pod bronią. — Nad świętą mogiłą. — Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie. — Jubileusz księcia-demokraty. — Misya mongolska w Petersburgu. — Pogrzeb Władysława Belzy. — Taniec dyabelski w Tybecie. — Reduta prasy w Krakowie.

Wojna kobiet.

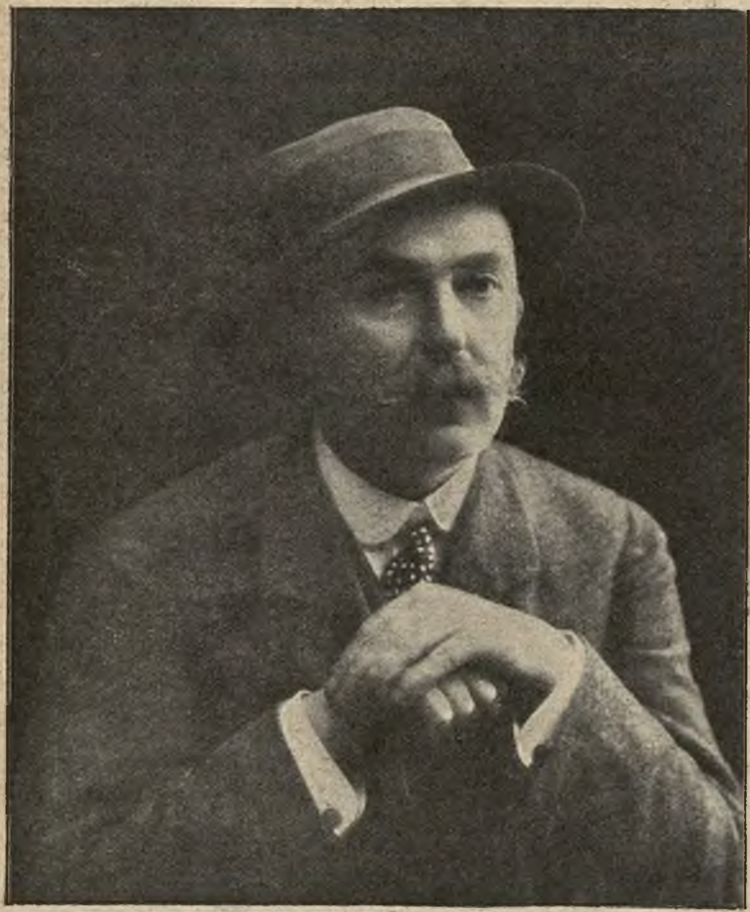
(Do illustracyi tytułowej).

Mamy wojnę nie tylko na Bałkanach. Londyn i inne większe miasta angielskie są od pewnego czasu widownią choć nie krwawej, lecz niemniej zajadłej walki... Na Bałkanach Słowianie i Grecy walczą z Turkami — w Anglii toczy się wojna z całym rodzajem męskim, któremu wypowiedziały walkę na śmierć i życie — urocze, a przeważnie mniej urocze sufrażystki... Te nowoczesne amazonki postanowiły szturmem zdobyć twierdzę przywilejów męskich. Na szczęście nie posiadają dotychczas karabinów i armat, wobec czego muszą walczyć mniej groźną bronią, jak laski, parasolki, kamienie, a nawet własne pazurki, które poczuł na swej twarzy niejeden minister angielski...

Obecny nastrój wojenny, który ogarnął całą Europę, wpłynął również podniecająco i na animusz sufrażystek, które w ostatnich dniach stoczyły kilka walnych batalii przed parlamentem, na zgromadzeniach i na ulicach, gdzie dla rozmaitości powybijały szyby w gmachach rządowych...

Zwłaszcza ziętą była walka na zgromadzeniu w Daudee, gdzie przemawiał minister Asquith. Sufrażystki, które zdołały wedrzeć się do sali, przypuściły szturm do ministra, któremu na odsiecz pospieszyli policyanci... Rozpoczęła się walka — zakończona sromotną klęską wojowniczych niewiast, które wyparto z sali. Wywołało to taki zapał wojenny wśród ich towarzyszek, znajdujących się na galeryi, że chciały stamtąd skakać na salę... Publiczność tylko z trudem zdołała je powstrzymać od tego ataku z góry (z wysokości 1 ego piętra!)

Tytułowa illustracya przedstawia właśnie tę batalię sufrażystek w Daudee i ich bohaterską walkę



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Kazimierz Laskowski (El).



Nad świeżą mogiłą: Pogrzeb ś. p. Kazimierza Laskowskiego.



Nowe zawikłania na Bałkanach: Demonstracye patryotyczne w Konstantynopolu po zamachu stanu i obaleniu przez Enver-beja rządów Kiamila-paszy.

z policyą. Prócz tego zamieszczamy fotografię parlamentu angielskiego, obstawionego posterunkami sufrażystek, które czekają na wchodzących do parlamentu posłów, aby zapomocą pokojowych konferencyi przekonać ich o słuszności swej sprawy. Jest to naturalnie rodzaj zawieszenia broni, po którem znowu pójdą w ruch... parasolki i kamienie...

Tak samo zupełnie, jak na Bałkanach.

Nad świeżą mogiłą.

Rok obecny przynosi nam jedną żałobę za drugą. Zaledwie minęło kilkanaście dni od śmierci Władysława Bełzy, gdy depesze doniosły znowu, iż w Warszawie zmarł znany pisarz i poeta Kazimierz Laskowski, piszący pod pseudonimem El'a. Któż nie zna tego poety-dziennikarza! Wśród licznej rzeszy dzieci Apollina potrafił on swemi piosenkami zasłynąć szeroko, jako piosenkarz chwili, z której chwytał najdonioślejsze wydarzenia i w rym je śpiewny i uczuciowy zakuwał.

Przed laty przeszło dwudziestu pięciu zaprzągł się do pracy literackiej i na swej pasterskiej lirence śpiewał narodowi piosnki dziarskie, piosnki polskie, i za to pokochali go ludzie. Piórem swem służył głównie Warszawie, śpiewał jej, bawił i rozśmieszał. Oprócz bowiem sentymentu miał El w swych utworach humor, dowcip i satyrę.

Dolę miał ciężką, a życie jak po grudzie cierniami przeplotło mu wawrzyny. Urodził się w r. 1861 we wsi Tokarni w pow. Jędrzejowskim. Do szkół uczęszczał w Krakowie. Po śmierci ojca objął majątek rodzinny w bardzo trudnych warunkach.

Obok swych pieśni i piosenek pracował Laskowski także jako powieściopisarz. Z pod pióra jego wyszedł szereg powieści, jak: „Parcelacye“, „Wojców ślady“, „Dygnitarze wioskowi“, „Z powrotem“. „Licytanci“ i t. d. Poza tem miał w swym literackim dorobku także kilka utworów scenicznych.

Zasadniczą myślą przewodnią jego wszystkich utworów było umiłowanie ojczyzny, gorące przywiązanie do polskiej wsi, to też sam o sobie śpiewał:

„Po ziemi swojej chodzę
Po Polsce hej! do końca!“

Śmierć zaskoczyła Ela niespodzianie w pełni sił. Zmarł nagle, po ataku sercowym.

U trumny lubianego wieszcza zgromadziły się tłumy. O godzinie 10 rano ciało złożono w kościele św. Piotra i Pawła na wspaniałym katafalku, a uroczyste nabożeństwo odprawił ks. Piotrowski. Ceremonia pogrzebowa rozpoczęła się o godz. 2 popoł. Zwłoki poety wzięli na swe barki koledzy i przyjaciele i ponieśli ku miejscu wiecznego spoczynku. Nad grobem przemówił gorąco kolega zmarłego red. Jan Smotrycki. Drugą mowę wypowiedział poeta Edward Słoński. Zmrok zapadał, kiedy cmentarz powązkowski opuszczały tłumy publiczności, z żalem odchodząc od grobu poety, a wszystkim dźwięczał w uszach piękny wiersz, odczytany nad trumną — ostatnia prośba Ela:

„Kiedy na was już patrzeć nie będę,
To usypcie dla mnie w polu grzędę,
Przy niej konczyk z krzemiennego głazu,
Na nim napis z jednego wyrazu,
Żeby czasem w pamięci zaszlochał...
Napis krótki, w jednym słowie: — „kochał“.
A zróbcie mi ostatnie posłanie
Przy kolebce, na krakowskim łanie,
Kędy zboża kwitną całą ściana,
Gdzie lud piersi okrywa sukmaną,
Gdzie od kniejnych małogoskich lasów
Chodzi echo moich młodych czasów...“



Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie: Twórca gmachu teatralnego architekt Czesław Przybylski.

Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie.

W poprzednich numerach pisaliśmy o wspaniałym budynku i artystycznym zespole Teatru Polskiego w Warszawie, który, stworzony prywatnymi środkami, dzięki poparciu ludzi ofiarnych, stanie się niewątpliwie ważną placówką kulturalną w największem polskiem mieście... Otwarcie tego nowego przybytku polskiej sztuki stało się też dla Warszawy prawdziwem świętem. Teatr Polski rozpoczął w d. 29 stycznia kampanię artystyczną pod znakiem wielkiej sztuki, wystawiając „Irydyona“ Krasińskiego. I z tego trudnego przedsięwzięcia — co podkreślają wszyscy recenzenci — wywiązał się wprost znakomicie zarówno pod względem gry aktorskiej, jak i wspaniałej wystawy.

Dla uczczenia uroczystości inauguracyjnej organizatorowie nowej sceny polskiej wraz z artystami i gronem zaproszonych gości zebrali się w salonach hotelu Bristol na wspólną wieczerzę, którą przedstawia jedna z naszych illustracyi. Prócz tego zamieszczamy portret architekta Przybylskiego, twórcę gmachu Teatru Polskiego.

Jubileusz księcia-demokraty.

Mało mamy dzisiaj przykładów takiej stałości zasad demokratycznych, oraz takiego prostodusznego



Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie: Twórcy, kierownicy i artyści Teatru Polskiego na bankiecie inauguracyjnym. 1) Marya Przybyłko-Potocka, 2) prezes Teatru Polskiego Tołłoczko, 3) Edward hr. Krasiński, 4) J. Węgrzyn (jun.) wykonawca roli Irydyona, 5) reżyser M. Węgrzyn (sen.), 6) Adolf Neuwert-Nowaczyński, 7) red. St. A. Kempner, 8) red. dr. Fryze, 9) dyrektor Teatru Polskiego dr. A. Schifmann, 10) Włodz. Perzyński, 11) redaktor Jan Czempiński. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Wojna kobiet: Posterunki sufrażystek (z opaskami na rękawach) przed parlamentem angielskim.

manifestowania solidarności narodowej i braterstwa klas, jak tego dowodzi piękny przykład ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, który obchodził przed kilku dniami pięćdziesięcioletni jubileusz członkowstwa swego w Resursie Kupieckiej warszawskiej.

Wstąpił on do niej w chwili, kiedy padały zapory przesądów klasowych, kiedy obok siebie do wspólnej pracy stawali „wolni z wolnymi" i „równi z równymi". Wielu polskich magnatów poszło wtedy tą samą drogą, nie wielu jednak wytrwało tak stale w swych przekonaniach, jak ks. Czetwertyński. Jako członek Resursy przeszedł on z nią różne koleje losów. Niestrudzony i niezrażony niczem, wytrwał jednak na swem stanowisku, wierny sztandarowi, dla którego od 50 lat pracuje. Należy on do najpopularniejszych postaci w Warszawie, gdzie stale przebywa. Taką samą popularnością cieszy się i syn jubilata, Seweryn, który stoi na czele Towarzystwa Rolniczego Centralnego.

Jubileusz ks. Włodzim. Czertwertyńskiego obchodzony był w Resursie kupieckiej bardzo uroczyście, a przemienił się w podniosłą manifestacyę solidarności narodowej.

Illustracya nasza przedstawia uroczystość jubileuszową w Resursie Kupieckiej w Warszawie.



Japońska mistrzyni pendzla: Wakana Utagawa, której wystawa obrazów budzi obecnie sensacyę w Warszawie.



Jubileusz księcia-demokraty: Uroczystość jubileuszowa ku czci ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, od 50 lat członka Resursy kupieckiej w Warszawie. 1) Jubilat Włodzimierz ks. Czetwertyński, 2) Seweryn ks. Czetwertyński (syn). (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

22

— Mylisz się pan — odrzekłam — o ile wiem i o ile sądzić mogę z jej listów, które często pisywała do mnie, była ona gorąco przywiązana do pana.

— Dla czegoż więc poszła za tego człowieka?

— Ja nie wiem, ale opowiedz nam, co wiesz, a może uda nam się, jak to sam powiedziałeś, wyjaśnienie tej tajemnicy. A najprzód, czy pan znasz tego człowieka i co on za jeden!

— Znam, poznałem go, gdyśmy z wojskiem naszem znaleźli się w sidłach między Sanem i Wisłą. Przybył on wtedy do obozu naszego, zaciągnął się do szeregów, złożywszy wprzódy znaczną podobno sumę na potrzeby naszej armii. Poprzednio nie znałem go wcale, lecz gdy zaczęto mówić o nadzwyczajnem jego podobieństwie do mnie, postarałem się zobaczyć go, a nawet zapoznać z nim. W rzeczy samej podobieństwo było tak wielkie, że patrząc na niego, zdawało mi się, że widzę siebie samego.

— Istotnie, zawołałam, rzecz to jest niezwykła, nadzwyczajna. Prawdziwy kaprys natury.

— Nie jest to żaden kaprys natury, ale chcąc go wytłumaczyć, muszę sięgnąć w dawny czasy. Gdyśmy się zapoznali i rozgadali o tem podobieństwie, które nas obu dziwiło, pokazało się, że w nas jedna krew płynie.

— Czy być może!

— Tak, jedna krew. Człowiek ten nazywa się Gaworowski, Tomasz Gaworowski i niegdyś, przed dwustu laty, przodek mój, głośny artysta malarz, Tomasz Dolabella, był kochankiem jakiejś pani Gaworowskiej. Owocem tego zdrożnego związku był syn, którego praprawnuczkiem jest właśnie człowiek, którego fatalne podobieństwo do mnie tyle nieszczęść spowodowało.

— Co za dziwna historya!

— Zapewne, że dziwna, a jednak prawdziwa. Któż zbada tajemnice natury, skryte prawa dziedzictwa, a może groźny palec Boży, karzący za grzechy ojców dziesiąte pokolenie... Ja, może właśnie jestem ofiarą tej kary...

— Nie wierzę w to i niepotrzeb nie dodajesz pan takiemi myślamy goryczy do swego położenia. Ale proszę, mów mi pan dalej o tym Gaworowskim.

— Nie podobał on mi się bardzo. Był skryty, niespokojny, nierówny w postępowaniu, intrygant i pochlebca względem zwierzchników, poza plecami których wygadywał na nich niestworzone rzeczy, a w oczy kłaniał im się i lizał brzydko. Do mnie przyczepił się i nie odstępował mię ani na chwilę i powoli, rozmawiając o tych naszych przodkach, którzy grzeszyli wspólnie, wywiadywał się o wszystkie szczegóły z mego życia i w końcu dobadał się i tego, że moje serce oddane jest pannie Julii Dziaduskiej. Czasami zdawało mi się z jego słów, że ją zna, ale gdym go o to raz zapytał, zaprzeczył temu stanowczo. Dziś jestem pewny, że ją znał, ale skąd i gdzie, nie wiem.

Na te słowa błysła mi dziwna myśl w głowie:

— Czekajno pan, panie kawalerze! przypominam sobie, że w jednym liście Julii, do mnie pisanym, znajduje się wzmianka o jakimś mnichu, którego nadzwyczajne podobieństwo do pana uderzyło wtedy Julię.

— Co pani mówi? pisała o tem?

— Tak, pisała. Proszę tu chwilkę zaczekać. Pobiegnę i poszukam tego listu.

Jakoż co żywo skoczyłam do mego pokoju i otworzywszy szkatułkę, w której przechowuję ważniejsze listy, odszukałam owe pismo Julii. Wróciwszy, głośno odczytałam panu Dolabelli ustępy następujące:

„...ten mnich, tak uderzająco podobny z twarzy, głosu, figury do kawalera Dolabelli, nie mógł nim być ze swą rubasznością i pijaństwem. Zresztą, gdyby to był kawaler, toć przecie starałby się ze mną zobaczyć, a mnich, jak mi Zuzia (tu objaśniłam słuchacza, kto była Zuzia) powiedziała, zaraz nazajutrz o samym świcie wyjechał! Nie, to nie był kawaler, ale jakieś bolesne dla mnie wstrząśnienie, jakie dziwne, niesłychane podobieństwo“...

A dalej:

„...nakoniec przypominam sobie, że w żaden sposób ten mnich nie może być kawalerem, bo kawaler jest we Francyi, w Paryżu; przecież jedna osoba w dwóch miejscach naraz znajdować się nie może“.

Gdym przeczytała te słowa panu Dolabelli, milczał on długo, a łzy mu jak groch płynęły z jego pięknych oczów. Obtarł je i rzekł po chwili:

— Daruj pani, naprawdę, wstyd mię, że płaczę, ale słowa te panny Julii wzruszyły mię głęboko.



Głośno odczytałam panu Dolabelli ustępy pamiętnika...

Boże! czemuż ja wtedy byłem od niej tak daleko!...

— Cóż jednak za wniosek wyprowadzasz pan z tych ustępów listu?

— Taki, że Gaworowski znał Julię, że znalazł się w Zamkowej Woli, przebrany za jakiegoś mnicha. Dla czego to uczynił, nie wiem jeszcze, ale się dowiem, choćby mi przyszło życie i majątek temu zadaniu poświęcić.

Pytał potem jeszcze o niektóre szczegóły i w końcu oświadczył, że pójdzie do kościoła, w którym Julia ślub brała, żeby zobaczyć, pod jakiem nazwiskiem Gaworowski akt spisać kazał.

— Pod pańskiem — odrzekłam.

— Skąd pani wie o tem?

— Przecież byłam na ślubie i wiem, że mąż Julii wszystkie potrzebne papiery posiadał. Skądże on tych papierów dostał?

— Ukradł je mnie.

— Panu! jakim sposobem? zawołałam zdziwiona.

— Hm! — odrzekł — muszę pani wszystko opowiedzieć. Rzecz ta ściśle jest związana z moją raną, dostaniem się do niewoli kajzerlików i pogłoską o mej śmierci.

Tu kawaler opowiadał, że został wysłany przez księcia Józefa, na czele kilkunastu ludzi, na podjazd, a do tej wyprawy nieproszony przez nikogo, przyłączył się i Gaworowski. Opadnięci znienacka przez przemagającą siłę huzarów węgierskich, pomimo walecznego oporu zostali pokonani. W starciu tem kawaler, cięty pałaszem w głowę i rękę, spadł z konia i stracił przytomność, a gdy przyszedł do siebie, znalazł się w rękach nieprzyjaciela, obdartym do nitki i pozbawionym papierów rodzinnych, ktore zawsze w pugilaresie nosił przy sobie. Przypomina sobie przytem, że na chwilę, boleśnie urażony w porąbaną rękę, otworzył oczy i zdaje mu się, że widział nad sobą pochylonego Gaworowskiego, ale nie był pewnym, czy się nie mylił, bo zaraz potem wpadł w ciężkie omdlenie.

— Wtedy, kończył kawaler swe smutne opowiadanie, nie byłem pewnym, czy to Gaworowski, czy nie, ale dziś gotówem przysiądz, że to on mię obrabował.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o tym przedmiocie, co jednak nie może cię interesować, droga pani, zwłaszcza, że i tak list ten jest zbyt długi. Zapytany przezemnie kawaler, co teraz zamyśla czynić — odrzekł:

— Zbiorę jeszcze nieco wiadomości i za przykładem dzielnego pana Dziaduskiego puszczę się w pogoń za tym nędznikiem, pomszczę się na nim, zabiję go!

Gdy to mówił, oczy mu błyszczały ogniem gniewu. Chcąc go uspokoić, zawołałam:

— Panie, wszak bądź co bądź jest to mąż Julii... cóż ona nieszczęśliwa wtedy zrobi?

Jęknął z rozpaczy, załamał ręce, szybko pożegnał się ze mną i wybiegł.

Oto masz, droga pani, szczegółową relacyę o mojem osobliszem widzeniu się z kawalerem Dolabellą. Dla mnie, jakem to już raz zaznaczyła, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Julia wiedziała, za kogo idzie. Ale dla czego to uczyniła? Różne robię przypuszczenia, ale nie chcę o tem pisać.

Kończę już, tysiące obiega tu pogłosek o tej nieszczęśliwej sprawie, a między innymi papa mi dziś mówił, że ślub Julii jest nieważny, bo dawał go nie ksiądz, ale jakiś braciszek, zbiegły podobno z klasztoru Swiętokrzyckiego, leżącego na Łysej Górze, w pobliżu Zamkowej Woli. Nie wiem, czy to prawda, ale jeżeli jest prawdą, jakże tragicznem jest teraz położenie Julii. Boję się o tem myśleć i kończę to pismo, przesyłając ci, droga pani, tysiące ucałowań. Jestem chora, głęboko zmartwiona całą tą nieszczęśliwą historyą. Biedne my kobiety!

Toute à vous
Hortence

XIX.

Zuzia do pana Alfonsa Dziurkiewicza*).

Nowy Targ, d. 4 sierpnia w dzień św. Dominika.

Najdrozszy szerczu mojemu Fonsiu! Piszę ten list, przesyłając ci pozdrowienie, życząc ci zdrowia i szczęścia od twojej, zawsze cię kochającej Zuzi i tyż dużo pocałunków ci dołączam, choć ty tam może za jenszemi dziewkami latasz, bo to u żołnierzy nie nowina. To co się stało z moją panią, panną Julią, chociaż óna tera nie jest ju panna, ale mężatka, to było zwyczajne męższyźnie oszustwo i łajdactwo, to tyż ja pedam, że kużda mężczyzna, to gorsza z przeproszeniem psza. My to niby mieliśmy jechać do dobrów i majętności wielkich męża mojej pani, a to było wszystko wielkie oszukaństwo i tyle. Zadnych dobrów ón niema i przyjechaliśmy tu do Nowego Targu, co jest miasto takie jak, z przeproszeniem, nasz Wierzbnik albo Daleszyce i stanęliśmy w żydowskiej karczmie, gdzie smród od cebuli i bachorów był taki, że moja pani się rozchorowała i tyż wymioty miała, co, jako wiadomo, zawsze jest u niewiast, gdy są w takim stanie, jak to i u mnie było, bez twoje najdrozszy szerczu mojemu Fonsiu, zbereżeństwo. Tyż całuję cię i nie gniewam się. Co robiący, a tu się pokazuje, że mój pan niema pieniędzów i byłaby wielka bieda, ale przyjechał na drugi dzień za namy ten ksiądz, co

*) Zbyt fantastyczną ortografię panny Zuzi autor tu i owdzie sprostował.

szlub dawał mojej pani i przyniósł ze sobą wielgie skarby, jak pan gadał. Ale to ci powiem najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że ten ksiądz to niby nie ksiądz i mnie się widzi, co ón wcale nie jest kapłan, jeno jakiś powsinoga i wielki oszukaniec. Nie miał ci na sobie sutanny ani nic takiego co księża mają, jeno był w kapocie jak jaki łyk z miasteczka i brodę se zapuścił jak pop ruski. Kiedym go zobaczyła zaraz mie coś piknęło kole szercza, że to jest oszukaństwo, a i moja pani tyż rozpłakała się i ręce łamała i wołała: o! ja nieszczęśliwa, chyba śmierć mie czeka. Juźcić jeżeli ten szlub nie był szlubem, to będzie bieda i wstyd, bo potrza ci wiedzieć najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że moja pani tyż jest w takim stanie, jako ja, bez twoje zbereżeństwo. Nieszczęśliwe my jesteśmy kobiety, ale ja cię całuję, chocia listownie i nie gniewam się wcale. Chyba, pedała moja pani, do klasztoru wstąpię, ale jakże może wstąpić do klasztoru, w takim stanie będący? Przyjmą ją to, czy co? Oj mężczyńska złość jest gorsza od wilka i psza wściekłego, jako ci to pedam najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że jak wrócę do Krakowa, a ty szlubu ze mną przed księdzem nie weźmiesz, to ci oczy wydrapię, bom się ju wstydu bez twoje zbereżeństwo najadła, ale tera cię całuję i nie gniewam się wcale. C by się z namy stało, nie wiem i niech Pan Jezus broni, ale wczoraj rano mąż mojej pani i ten ksiądz a nie ksiądz, jak poszli gdzieś tak przepadli. Całusieńki dzień na nich z moją panią czekamy, czekamy, a ich niema. Pani płacze i ja tyż beczę, bo mi żal było pani, a dopiero dowiadujemy się, że oba te łotry wyjechali se z Nowego Targu niewiadomo dokąd. ostawiając nas na łasce Boskiej. Dopiero to radość gdy jasny pan dziedzic, a dziadek mej pani przyjechał. Jutro, jak tylko mej pani lepiej się zrobi. zara jedziemy do Krakowa, a potem do Zamkowej Woli. Najdroższy szerczu mojemu Fonsiu czekajże mię w Krakowie, a kiedy tera wojna się skończyła. to się pewnikiem uwolnisz z wojska, i my się po bierzemy. Całuję cię i ściskam kochany Fonsiu, a za dziewuchami nie lataj, niech cię Pan Jezus broni, bo bym ci twoje czarne ślepie wydrapała. A teraz ściskam cię serdecznie

Twoja żona

Zuzia.

XX.

Dalszy ciąg dziennika Julii.

Zamkowa Wola d. 15 października 1809 r.

Otworzywszy dziś szufladkę mego biurka, natrafiłam na ten dziennik, świadek lepszych dni mego życia, w którym już, ah, jak dawno już nic nie pisałam. Boże, jakże się wszystko zmieniło, jak się zmieniło, gdym poraz ostatni skreśliła na tych kartkach moje myśli i wrażenia. Gdyby mi ktoś dawniej był powiedział, że w ciągu kilku miesięcy losy moje, wyobrażenia, ideały i wogóle życie całe ulegnie takiemu przeobrażeniu, nigdybym mu nie uwierzyła. A jednak, nie jestem teraz ani panną, ani mężatką, ani wdową lub separatką, ale najnieszczęśliwszą, niezdecydowaną istotą! Za cóż mie tak karzesz Boże? jakie przekleństwo ciąży na tym zamku mych przodków, że kto tu zamieszka, ulega nieszczęściu? Czyżby krwawy cień mej praprababki, który niedalej jak przed miesiącem, w przeddzień zgonu mego drogiego dziadunia, znowu mi się ukazał... kładł piętno niedoli na wszystkich, a więc i na mnie, com jest ostatnia z rodu Dziaduskich?

Ostatnia? a moje dziecię, którego życie czuję pod mem sercem, czyż nie będzie nosiło tego nazwiska? Wszak urodzone z nieślubnego związku, nie może mieć innego. O! zbrodniczy, hańbą okryty mężu i nie mężu mój, najniegodziwszy z ludzi, coś mnie niewinną uwiódł, gdzie jesteś teraz? Czyż cię sumienie nie dręczy, żeś rzucił matkę twego dziecięcia i to dziecię niewinne! Ale czyż on może wrócić? wszyscy już dziś wiedzą, że to on popełnił kradzież skarbów świętokrzyckich i jak powiada pan Dziurkiewicz, listy gończe są za nim rozpisane. Tak! o ileż odemnie jest szczęśliwsza Zuzia, która nakoniec wzięła slub, prawdziwy ślub ze swym kochankiem i jest teraz mężatką, a ja?

Nikogo już nie mam na świecie, dziadunio umarł i co mię najbardziej dręczy, że moje okropne losy przyczyniły się do jego śmierci, choć mi tego nigdy nie okazywał, ani najmniejszem słówkiem nie dał mi poznać, jak dalece dotknęła go moja lekkomyślność, a nadewszystko wstyd i plama, jaką rzuciłam na imię Dziaduskich. Ale, Boże mój, czy ja jestem temu winna? czy to, co się stało, stało się z moją wolą i świadomością? Gdy sobie przypomnę wszystkie okoliczności, towarzyszące tej strasznej, niezapomnianej nocy, widzę, że działałam, oddałam się pod wpływem jakiegoś upojenia, czaru, jaki rzuciły na mnie jego ogniste, palące oczy... A później czyż mogłam mu się opierać, kiedy się to już raz zaczęło i na coby się zdał ten opór?

Ale poco ja to wszystko piszę, dla kogo? Zapewne, lżej mi się jakoś robi na sercu, gdy temu zimnemu papierowi powierzam me bóle i cierpienia, ale na co to wszystko? Taki już los kobiet z rodu Dziaduskich. Ich kalwaryę rozpoczęła moja praprababka, w cień zaklęta na obrazie mistrza Dolabelli, a ja ją kończę. I dlaczego, dlaczego, o Boże! ci Dolabellowie są naszem kochaniem i naszem nieszczęściem!

Dolabella! jakże słodko w mych uszach brzmi to imię. Przed kilku dniami odebrałam od pana Tomasza list, śliczny list, w którym ofiaruje mi swoją rękę. Czyż ja, skalana, nosząca pod sercem płód zakazanej miłości, mogę zostać jego żoną? Nie! nigdy! nigdy! Żeby nie to dziecię, którego drgania czuję w mem łonie, zagrzebałabym mój wstyd i moją hańbę w murach klasztoru, ale tak, jak jest, nie mogę tego uczynić. Czyste dziewice, poświęcone Bogu i modlitwie, odtrąciłyby mię skalaną, com kochanka nocami przyjmowała w mej alkowie. Kochanka? Czy ja go kochałam? Nie! nie! po stokroć nie! To nie miłość była, to krew mej praprababki we mnie grała, to przekleństwo kobiet rodu Dziaduskich. Dziś, gdym zbadała z archiwum zamkowego przeszłość mego rodu, przekonywuję się, że wszystkie te w rotronach i czepcach, z różańcami w rękach damy, co surowemi postaciami tkwią na portretach w korytarzu zamku, wszystkie takie same były, wszystkie miały kochanków. To był i jest ród zwyrodniały, przeklęty do dziesiątego pokolenia.

Lecz poco ja to piszę i poco sama się rozdrażniam? Odpisałam kawalerowi Dolabelli, że nigdy, nigdy nie mogę i nie będę jego żoną. A jak płakałam, jak płakałam, pisząc ten list, zamykający na zawsze wszystkie dni mego szczęścia. Tak, będę pędziła życie ciche i samotne w tym starym zamku, gdzie na każdym kroku snują się widma przeszłości i będę czuwała nad mą dzieciną. Jeżeli to będzie dziewczynka, jakże jej strzedz będę, jak strzedz będę, by nie weszła w ślady kobiet Dziaduskich...

Ale dość tego! Poco to wszystko pisać?

Warszawa-Radom, styczeń-kwiecień 1912 r

K O N I E C.

Misya mongolska w Petersburgu

W poprzednim numerze pisaliśmy o zawarciu traktatu rosyjsko-mongolskiego, który był ostatecznem przypieczętowaniem oderwania się tej prowincyi chińskiej od państwa Niebieskiego. Mongolia stała się nominalnie państwem niezależnem, zdobyła jednak samodzielność tylko dzięki poparciu Rosyi, która też zyskała w tym kraju decydujący wpływ polityczny i ekonomiczny. Swiadczy o tem wymownie misya mongolska, która w tych dniach przybyła do Petersburga. Obok podziękowań za poparcie przywiozła ona szereg koncesyi, jakie ma otrzymać Rosya w Mongolii, a więc bank rosyjski, budowę kolei i otwarte wrota dla towarów rosyjskich. Jest to niewątpliwie dopiero początek, który utoruje drogę panowaniu rosyjskiemu w Mongolii...

Ilustracya nasza przedstawia grupę członków „dziękczynnej“ misyi mongolskiej w Petersburgu.



Nowe zawikłania na Bałkanach: Miasto Adryanopol — jabłko niezgody pomiędzy Turcyą a Związkiem bałkańskim.

Pogrzeb Władysława Bełzy.

Zgon zasłużonego pisarza i poety poruszył cały kraj i powołał do udziału w manifestacyi żałobnej przedstawicieli wszystkich warstw naszego społeczeństwa. Władysław Bełza tem właśnie umiał pozyskać sobie miłość i uznanie współobywateli, że pieśni jego, owiane głębokim patryotyzmem, przemawiały do duszy w sposób prosty a serdeczny, ubierając w poetycką szatę różne chwile i przeżycia narodu w nastroju trafiającym do przekonania i utrwalającym się w pamięci. Wiele z jego wierszy przeszło w tak zwaną potoczną poezyę, t. j., że niema prawie domu polskiego, gdzieby ich nie czytano i nie uczono się na pamięć.

To też u trumny jego znaleźli się wszyscy ci, którzy pragnęli uczcić tego cichego pracownika i oddać hołd wielkim jego zasługom. Między innymi przybyli Ks. A. Lubomirski, hr. Piniński, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej, dr. Dembowski, profesorowie i senaty uniwersytetu i politechniki lwowskiej, prezydent Lwowa Neuman, cały personal Zakładu im. Ossolińskich, reprezentanci szeregu towarzystw naukowych i stowarzyszeń oraz wielu wybitnych posłów i obywateli.

Służbę przed domem żałoby pełnił oddział skautów. Modlitwy u trumny odprawił ks. arcybiskup Bilczewski, w otoczeniu licznego duchowieństwa, poczem zwłoki wyniesiono przed dom. W tej chwili rozbrzmiały dźwięki chorału, odśpiewanego przez „Lutnię“, poczem rozpoczęły się przemówienia. Pierwszy imieniem „Macierzy polskiej“ żegnał zmarłego gorącymi słowy prof. dr. Bruchnalski. Przedstawiwszy obszernie działalność jego jako pisarza i obywatela, podkreślił mowca jego twórczą i wychowawczą dzia-



Misya mongolska w Petersburgu: Grupa członków misyi po przyjeździe do Petersburga.

łalność dla dobra młodzieży, i całego społeczeństwa polskiego.

Jako drugi mowca przemawiał imieniem Koła literacko-artystycznego jego prezes, dr. Aleks. Vogel. Wskazał on na fakt, że zmarły był jednym z współtwórców i założycieli ruchu literackiego i towarzyskiego we Lwowie.

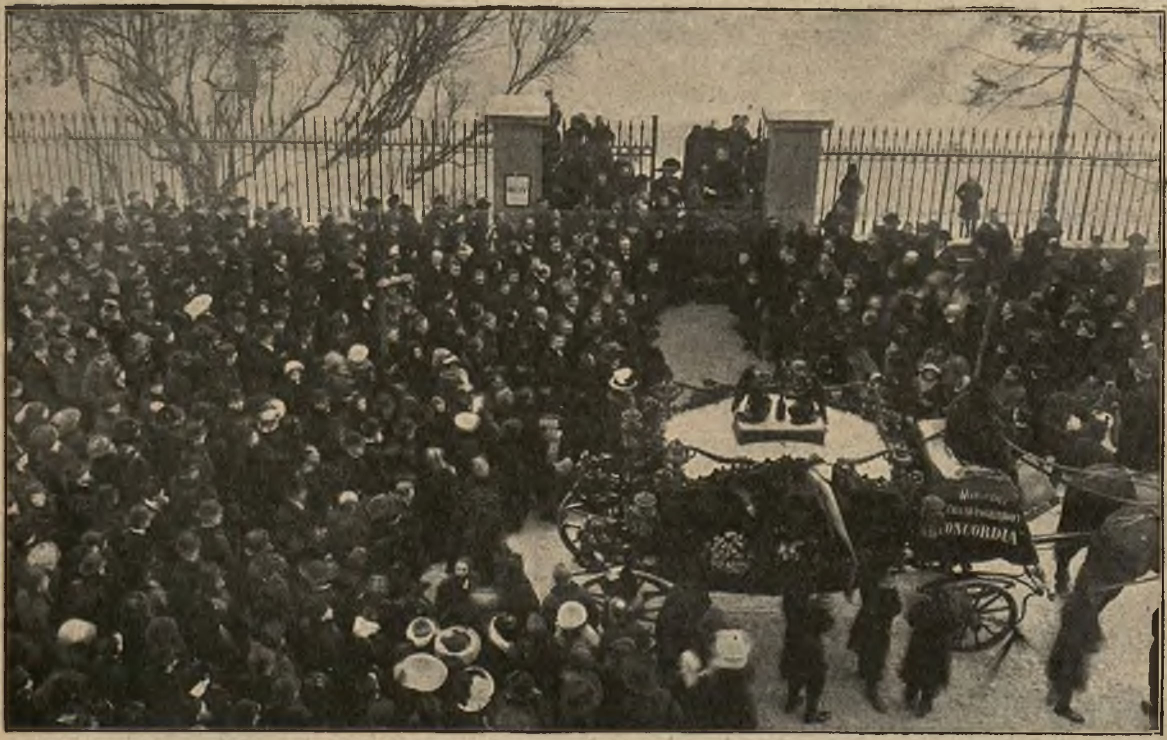
Następnie ruszył kondukt żałobny, prowadzony przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego, w otoczeniu licznego kleru w ulicę Ossolińskich, gdzie zatrzymał się przed bramą Zakładu im. Ossolińskich. Tu przemówił prof. dr. Gubrynowicz imieniem Zakładu, wspominając o ścisłych stosunkach, jakie łączyły ś. p. Bełzę z kolegami i przełożonymi.

Po tem przemówieniu kondukt ruszył dalej ku cmentarzowi łyczakowskiemu przez ulicę Kopernika, plac Maryacki, Halicki i ulicę Piekarską. Po odśpiewaniu modłów przez duchowieństwo nad otwartą mogiłą złożono zwłoki zasłużonego bojownika na wieczny spoczynek.

Na ręce wdowy nadeszły stosy depesz i listów z kondolencyami od najwybitniejszych obywateli i towarzystw polskich.



Pogrzeb Władysława Bełzy: Ś. p. Władysław Bełza na katafalku. (Fot. M. Münz, Lwów).



Pogrzeb Władysława Bełzy: Kondukt pogrzebowy przed „Ossolineum“. Przemawia prof. dr. Gubrynowicz. (Fot. M. Münz, Lwów).



Nowe zawikłania na Bałkanach: Ulica w Adryanopolu.



Rumunia pod bronią: Król rumuński Karol.



Rumunia pod bronią: Armia rumuńska buduje prowizoryczne mosty.

Rumunia pod bronią.

Rumunia, jedyne państwo na Bałkanach, które w wojnie obecnej nie brało udziału, zaczyna obecnie coraz groźniej pobrzękiwać bronią. Za to, że nie brała udziału w walce Związku bałkańskiego z Turcyą, Rumunia zażądała nagrody w postaci uregulo-

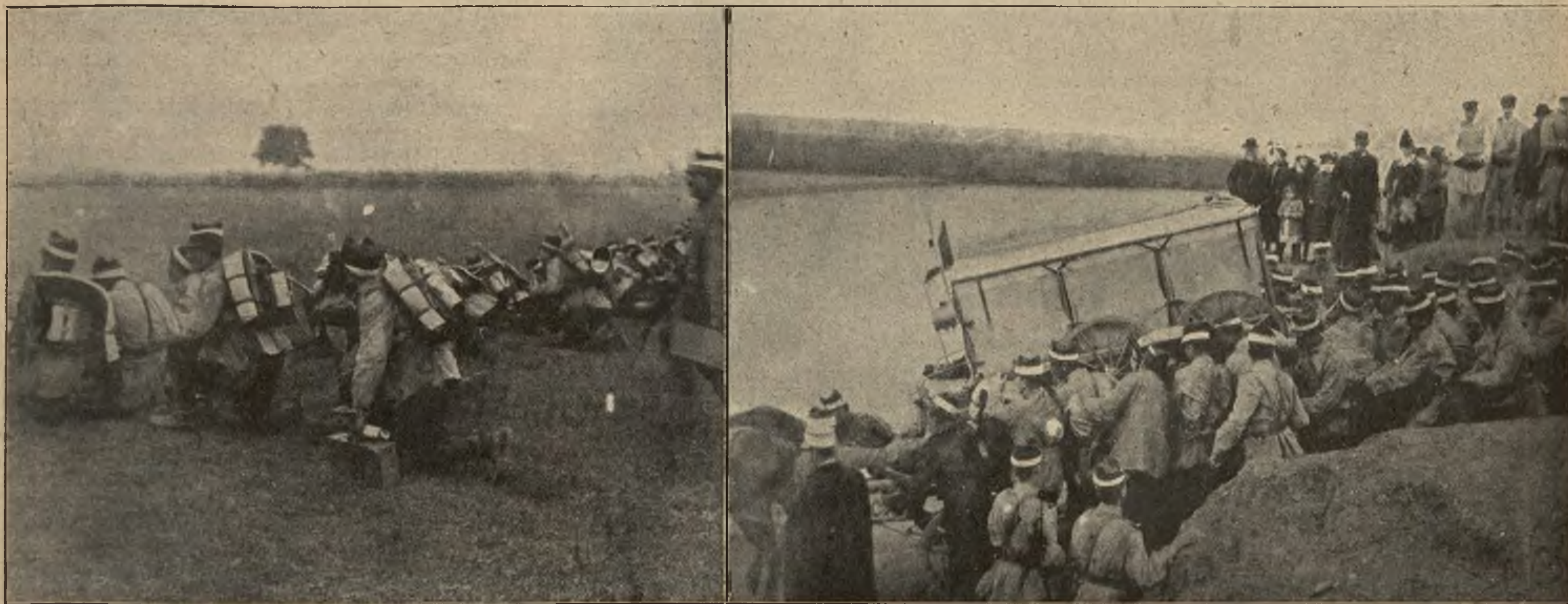
wania granicy rumuńsko-bułgarskiej... Zresztą chęć zabrania Bułgaryi sporego kawałka jej terytoryum oddawna nurtowała w rumuńskich sferach politycznych.

Rząd rumuński żąda mianowicie odstąpienia przez Bułgaryę nie tylko Sylistryi z fortami, ale także znacznego pasa ziemi na zachód od Sylistryi wzdłuż Dunaju, aż do twierdzy Turtukaj. Stąd w prostej prawie linii ma iść nowa granica, aż do punktu odległego mniej więcej o 20 kilometrów na północ od głównego portu bułgarskiego Warny.

Rumunia żąda więc nieledwie całego okręgu Sylistryi, mającej 3 000 kw. kilometrów powierzchni, tudzież 111,800 mieszkańców, oraz przeszło połowy okręgu Warna, który ma 2 820 kilometrów. kw. powierzchni i 215 000 mieszkańców, razem co najmniej 5000 kw. kilom. ziemi z 250 000 ludności.

Przy takiej „regulacyi" granicy rumuńska Dobrudża zostałaby znacznie powiększona, stałaby się prowincyą zdolną do życia ekonomicznego i byłaby zabezpieczoną przed zamachem tak zaborczej sąsiadki, jak Bułgarya, która też nie okazuje zbyt wielkiej ochoty do spełnienia życzeń Rumunii. Zatarg bułgarsko-rumuński, pomimo ciągłych rokowań i układów, wszedł w ostrą fazę i grozi nowemi zawikłaniami. To też Rumunia, zniecierpliwiona odporną postawą Bułgaryi, zdradza coraz większe zdenerwowanie i czyni gorączkowe przygotowania wojenne. W ostatnich czasach zmobilizowano całą armię rumuńską, a w całej Rumunii odbywają się wiece i zebrania, żądające wojny z Bułgaryą... Słowem i Rumunia, dotychczas tak biernie zachowująca się wobec wypadków bałkańskich, uległa obecnie nastrojom wojennym i stanęła z bronią u nogi.

Illustracye nasze przedstawiają epizody z mobilizacyi rumuńskiej.



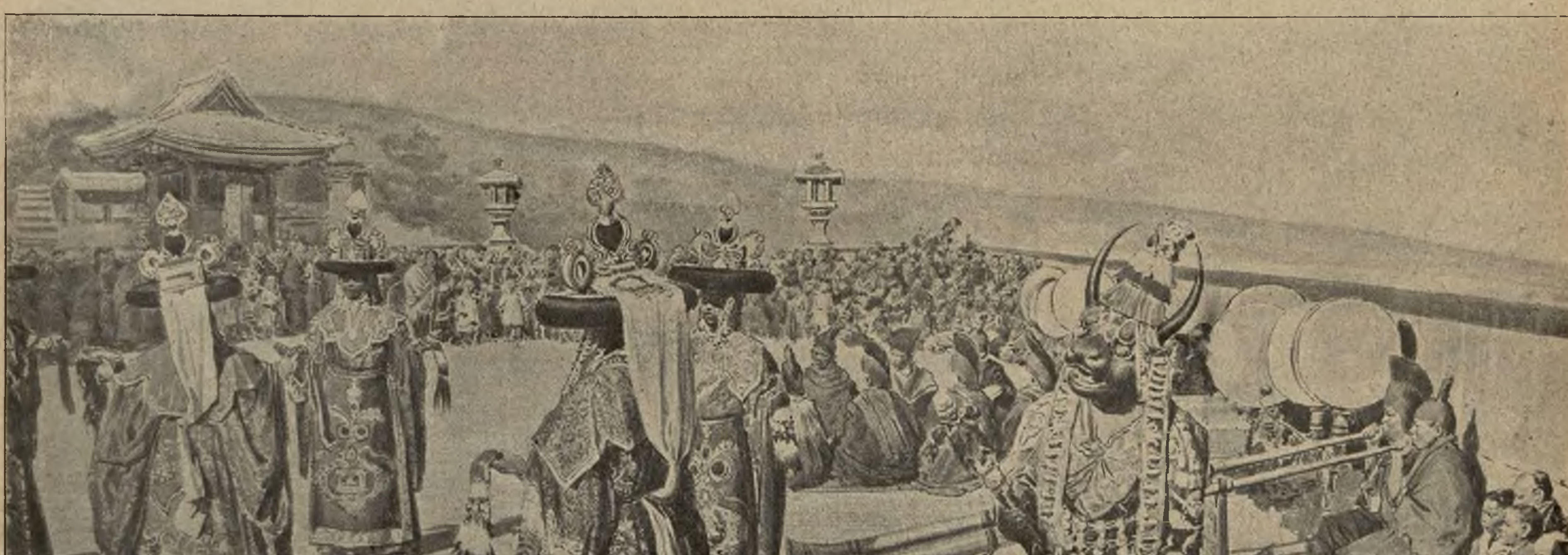
Rumunia pod bronią: Ćwiczenia zmobilizowanej armii rumuńskiej.

Taniec dyabelski w Tybecie.

Wschód dla Europy stanowi zawsze tajemnicze misteryum, krainę pełną fantastycznych obrzędów i zwyczajów. Europejczyk, przybywający do Indyi, Chin lub Tybetu, spotyka się co krok z obyczajami, które kryją w sobie bądź tajemniczą grozę, bądź też wielką symbolikę, niedostępną często dla umysłów europejskich. Wiele przyczynia się do utrzymania tych starych zwyczajów wiara ludów Wschodu, która przeważnie zasadza się, poza treścią bardzo mistyczną, na zewnętrznych symbolach. Tajemniczość jej zaś i oryginalność podtrzymywana jest jeszcze rozmyślnie przez fanatycznych jej kapłanów, którzy w ten sposób łatwiej panują nad umysłami ludności.

Obok Chin, Tybet celuje pod względem wielkiej symboliki w obrzędach religijnych.

Kraj wogóle mało znany i zbadany, gdyż lud-



Taniec dyabelski w Tybecie: Symboliczny taniec kapłanów tybetańskich na cześć Nowego Roku.



Czterdziestoletni jubileusz pracy nauczycielskiej: Naucz. Jakób Baumgarten (1) w otoczeniu uczniów opuszcza synagogę w Przemyślu po nabożeństwie jubileuszowem (Fot M Todt, Przemyśl).

ność fanatycznie wprost broni się przed inwazyą cywilizacyi europejskiej, jest pełen prastarych świątyń i zwyczajów, które nieraz bywają bardzo oryginalne.

Illustryacya nasza dzisiejsza przedstawia zdjęcie fotograficzne, dokonane przez oficera angielskiej ekspedycyi, w dzień Nowego Roku. Przedstawiony na niem jest symboliczny taniec dyabelski, wykonany przez Tybetańczyków na cześć Nowego Roku. Fantastyczne stroje głów przedstawiają wyobrażenia dyabłów, a ludność tym hołdem, oddanym złu, pragnie ustrzedz się przed niem i przebłagać złe przeznaczenie.

Czterdziestoletni jubileusz pracy nauczycielskiej.

W dniu 19 stycznia b. r. obchodzono w Przemyślu jubileusz czterdziestoletniej pracy zawodowej nauczyciela religii mojżeszowej w tamtejszych szkołach, p. Jakóba Baumgartena.

Po wręczeniu daru honorowego w mieszkaniu jubilata ruszono do synagogi, gdzie na godzinę dwunastą zapowiedziane było nabożeństwo dziękczynne. W świątyni zebrały się tłumy dawnych i obecnych uczniów i liczne deputacye, co dowodzi, jaką sympatyą i uznaniem cieszy się jubilat w najszerszych kołach społeczeństwa przemyskiego.

Po odśpiewaniu kantaty okolicznościowej przemówił profesor dr. Schorr, jako były uczeń, podnosząc zasługi jubilata.

Wieczorem odbył się bankiet przy udziale około stu osób, przeważnie dawnych uczniów p. Baumgartena. Wygłoszono szereg toastów i odczytano setki telegramów gratulacyjnych od uczniów, znajomych i przyjaciół jubilata.

Jubileuszowy opłatek.

W serdecznym nastroju obchodziło tego roku uroczystość dzielenia się opłatkiem Stowarzyszenie c. k. służby pocztowej i telegraficznej we Lwowie. Uroczystość religijną połączono z specyalną uroczystością stowarzyszeniową, która dla każdej organizacyi ma doniosłe znaczenie, mianowicie z obchodem dziesięcioletniej rocznicy założenia stowarzyszenia. Jako instytucyę humanitarną założono organizacyę służby pocztowej i telegraficznej dla Galicyi przed dziesięciu laty w nader ciężkich warunkach. Na czele Stowarzyszenia stanął energiczny prezes p. Józef Czajkowski.

Rozwój pracy organizacyjnej postępował przez ubiegłe lata tak dobrze naprzód, że dzisiaj może Stowarzyszenie już poza ramami statutem nakreślonymi udzielać wsparć i zapomóg swym członkom. Nadto posiada Stowarzyszenie swą muzykę, wyposażoną w doskonałe instrumenty oraz rosnący stale własny majątek.

Uroczystość opłatka a zarazem rocznica dziesiąta istnienia Stowarzyszenia zgromadziła u stołu wspólnego liczny zastęp członków. W podniosłym nastroju spędzono mile kilka godzin, a illustracya pomieszczona w naszym numerze jest upamiętnieniem tej chwili.



Jubileuszowy opłatek: Opłatek w Stowarzyszeniu służby pocztowej i telegraficznej we Lwowie w dziesiątą rocznicę założenia instytucyi. (Fot. M. Münz, Lwów).

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

28

Gdy połączono go z żądanym numerem, kazał swym pomocnikom przyjechać automobilem po więźnia i wskazał człowieka z brygady, który miał zostać służącym Simonet'a. Potem zwrócił się znowu do związanego, który, zrozumiawszy, że opór byłby daremny, zadowolił się tem, iż powoływał się na prawo, groził ministrowi skandalem i obiecywał, że ośmieszy Paulina Broqueta, publikując całe zajście w gazetach. Detektyw, nie zwracając najmniejszej uwagi na te groźby, założył mu na nogi kajdanki, poczem powoli i ostrożnie począł odwijać go z portiery. Wykręcił mu ręce w tył i nałożył kajdanki, połączywszy je łańcuszkiem z okuciem nóg. Gdy odwinął go zupełnie z portiery, rzekł z uśmiechem:

— Więc to ty pachniesz tak przyjemnie? Teraz dopiero wiem, kto tu jest uperfumowany.

Wziął się natychmiast do zrewidowania kieszeni. Znalazł kilka listów cyfrowanych, parę dokumentów z nagłówkiem ministerstwa spraw zagranicznych, które musiał ukraść z biurka Simonet'a, który żywo się tem zaniepokoił — i wreszcie mały, kieszonkowy pulweryzator, napełniony znanemi perfumami hrabiny Wassowia.

— A! A! — rzekł detektyw — więc to przy pomocy tego przyrządu chciałeś zmylić ślady hrabiny i wprowadzić mnie w błąd!

Rzucił pulweryzator na łóżko rannego.

— Proszę, panie Simonet! Musi pan znać te perfumy, są zresztą bardzo przyjemne.

W tej chwili zadzwoniono. Przybyli pomocnicy detektywa.

— Odwieziecie tego człowieka do więzienia śledczego i każecie go zamknąć w specyalnej celi.

— Dobrze, panie szefie.

L'Amorce zbliżył się i szepnął do ucha Paulina Broqueta:

— Panie szefie, obstawiliśmy dom naszymi ludźmi.

— Dobrze! Dlaczego?

— Gdyż zauważyliśmy na ulicy hrabinę Wassowia, rozmawiającą z pewnym jegomościem, który wydał się nam podejrzanym. Jest to Amerykanin Will Wilson.

— Will Wilson! — rzekł detektyw, drgnąwszy mimowoli. — Dobrze, moi chłopcy, miejcie się na baczności. Ja muszę tu pozostać jeszcze przez jakiś czas, nie skończyłem wszystkiego. A więc uwaga!

— Tak, panie szefie. Proszę być spokojnym.

— Jeszcze jedno, panie szefie — dodał L'Amorce. — Proszę przygotować pana Simonet'a, że czeka go wzruszająca wizyta.

— Czyja?

— Markiz don Izigo Martolo i hrabina Pepa d'Ortega za chwilę tu będą.

Paulin Broquet podskoczył.

— Markiz don Martolo, mówisz?

— Tak, panie szefie.

— A jednocześnie Will Wilson jest na ulicy?

— Tak, panie szefie.

— W takim razie, moi chłopcy, podwójcie, potrójcie uwagę! Wszystko mi mówi, że Zigomar planuje jakiś nowy zamach.

— Tu w domu? Na pana Simonet'a?

— Nie... Ale wiedzą, że ja tu jestem, uprzedziła ich o tem hrabina Wassowia. Muszą też już wiedzieć, że złapałem jednego z ich ludzi i że macie go stąd zabrać. I jestem pewny, że będą próbowali odbić go wam.

— Źle na tem wyjdą, panie szefie, przyrzekamy to panu.

Paulin Broquet rzekł twardym głosem:

— Czas już zacząć działać stanowczo, bez pardonu.

— Ach! nareszcie pan się zdecydował, panie szefie.

— Chwytają się noża przeciw tym, którymi się opiekujemy. Dosyć więc łagodnych środków! Moi chłopcy, jeżeli zajdzie potrzeba, strzelajcie, strzelajcie, walczcie w każdy sposób!

— Dobrze, panie szefie, tak będzie lepiej. Odwieziemy więźnia i powrócimy tu. Tymczasem dom jest strzeżony, jeden z naszych jest służącym pana Simonet'a, a w kuchni oprócz tego jest dwu ludzi.

— Dobrze, w drogę moi chłopcy!

Gabryel i L'Amorce podeszli do więźnia. Żeby zapobiedz krzykom, owinęli go na nowo w portyerę, znieśli go ze schodów, jak pakunek i umieścili w automobilu, którym kierował Sidi.

Automobil z miejsca ruszył pędem.

ROZDZIAŁ XVII.

Paulin Broquet powrócił do pokoju rannego.

— Panie ministrze — rzekł — mamy bardzo niewiele czasu. Wkrótce pan Simonet będzie miał gości, których nie można będzie nie przyjąć. Musimy się więc spieszyć, chcąc załatwić naszą sprawę.

— Dobrze, drogi panie. Niech pan pyta, Simonet gotów jest odpowiadać.

— Naturalnie, panie Simonet — zaczął detektyw — pan nie ma pojęcia, w jakim celu pana zraniono i kto to uczynił?

— Rzeczywiście. Była to dla mnie zupełna niespodzianka, notabene bardzo bolesna.

— Tak, jest to zagadka, którą staramy się rozwiązać. Czy pan jest, czy nie, kochankiem hrabiny d'Ortega...

Simonet poruszył się gwałtownie na łóżku i chciał coś powiedzieć. Detektyw powstrzymał go.

— To pana rzecz i my się do tego nie wtrącamy, niech pan mi pozwoli mówić. Więc czy pan jest, czy nie jest kochankiem hrabiny d'Ortega, to nie wystarcza, żeby człowiek tego rodzaju, jak baron de la Ronconlieré, mógł pchnąć pana sztyletem...

— Jakto? Baron! Pan przypuszczasz, że to on?

— Wszyscy wiedzą, że baron jest zakochany w hrabinie i że stara się o jej rękę i miliony. Niemniej wszyscy wiedzą, że baron uważał pana za rywala, miał wyzwać pana pod jakimkolwiek pretekstem i zabić swem słynnem pchnięciem. Baron jest śmieszny, ale mimoto jest to człowiek honoru i jeśli z całym spokojem mógłby pana wyprawić na tamten świat w pojedynku, to nigdy nie zniżyłby się do pchnięcia sztyletem.

— Jestem tego pewny — oznajmił Simonet.

— Jednakże posadzono go w operze zaraz za panem.

— Żeby mnie zamordował?

— Nie, lecz żeby podejrzenie na niego padło.

— Ależ to podłość!

— Nie, to głupota.

— Jakto?

— Zaraz się pan o tem przekona. Przedtem jednak musi mi pan odpowiedzieć na parę pytań.

— Słucham pana.

— Co pan obiecał, w swojem biurze w ministeryum, między dwoma pocałunkami, hrabinie Wassowia?

Simonet zaczął się śmiać.

— Więc pan wie o tem. Jak widzę, nic nie ujdzie pańskich oczu i uszu. O ile wiem jednak, panie ministrze, prawo nie zabrania całować?

— Istotnie. Jednakże wróćmy do rzeczy.

— Hrabina chciała być na galowem przedstawieniu w operze. Nie mogła jednak dostać biletu, zwróciła się więc do mnie z prośbą i ja jej to obiecałem.

— Doskonale! — rzekł Paulin Broquet. — Więc wtedy, gdy spotkała pana w korytarzu, prowadzącym do lóż, dziękowała panu za spełnienie obietnicy.

— Więc pan i to widział? Tak, czekała tam na mnie specyalnie, żeby mi podziękować.

— Doskonale! — powtórzył detektyw. — Teraz drugie pytanie: Co zawierały kieszenie pańskiego fraka? Proszę odpowiadać prędko.

— Z jednej strony pugilares, z drugiej chustkę.

— I więcej nic? Napewno?

— Tak jest, nie można przecież wypychać kieszeni fraka, jeśli się chce przyzwoicie wyglądać. Więcej nic nie miałem w kieszeniach.

Minister podniósł się z fotela i zbliżył się do łóżka, mówiąc ze wzruszeniem:

— Tylko to, mój drogi Simonet, mój kuzynie? Nic więcej?

— Ależ tak, panie ministrze — odparł Simonet, poruszony tą natarczywością pytań.

— Czy pan może na to przysiądz? Może pan dać słowo honoru?

— Przysięgam na honor, panie ministrze.

Pan Desbois Billy uścisnął mocno dłoń chorego.

— A! — rzekł — nie ma pan pojęcia, jak jestem szczęśliwy, słysząc to.

— Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. O co tu chodzi?

— Dlatego — odparł minister — że w kieszeni pańskiej Paulin Broquet znalazł dokumenty, które przed paru dniami przywiózł z Londynu p. Ewans.

Simonet zadrżał.

— To niemożliwe! — zawołał. — To niemożliwe! Zamknąłem je przecież w żelaznej szafie.

— Niech się pan uspokoi. Nikt nie wątpi o pańskiej niewinności. Ale fakt jest stwierdzony. Chciano pokazać nam, że pomimo aresztowania Raynanda, można wykraść dokumenty z ministeryum i że to pan właśnie tem się zajmuje.

— Co za podłość!

— Dlatego też zraniono pana, żeby przy tej sposobności mogli się ludzie dowiedzieć o pańskiej zdradzie.

— To straszne!

— Ale Paulin Broquet jeszcze raz popsuł im szyki. Nie był w stanie obronić pana od uderzenia sztyletu, ale ocalił pana honor, zabierając z pana kieszeni kopertę z dokumentami, którą tam tak zręcznie wsunęła hrabina Wassowia, dziękując panu za bilet do opery.

Dwie łzy spłynęły po policzkach Simonet'a.

— Ach! panie ministrze, popełniłem błąd, przyjmując tę kobietę w mojem biurze w ministeryum. Miałem poleconą sobie opiekę nad dokumentami. Dokumenty te skradziono, gotów jestem ponieść zasłużoną karę. W każdym razie natychmiast podam się do dymisyi.

— Której nie przyjmę, mój drogi Simonet. Pozostawię pana przy sobie i to będzie jedyna kara.

— Jednakże dokumenty skradziono...

Tu wtrącił się do rozmowy Paulin Broquet.

— Tak, panie Simonet, ale te dokumenty są bez wartości. Muszę się wytłumaczyć. Gdy towarzyszyłem panu Ewans w podróży z Londynu, skradłem mu dokumenty i na ich miejsce podłożyłem inne. Oryginały są u mnie, w dobrem schowaniu.

Zwracając się do ministra, dodał:

— Daruje mi pan, panie ministrze, że nie zawiadomiłem pana o tem natychmiast. Ale jutro M. Ewans, któremu je zwrócę, wręczy je panu, panie ministrze. Zmieni się zamki w żelaznej szafie i dokumenty będą bezpieczne. W taki sposób Paulin Broquet, którego uważają za zwyciężonego, poradził sobie z Zigomarem i jego znakomitym wspólnikiem, Mac Binkertonem!

W tej chwili wszystkim obecnym wydało się, że dom zadrżał w posadach.

— A! — rzekł Paulin Broquet. — Doskonale! To kapitan de La Rochardie. Posłałem po niego. Teraz pan Simonet będzie dobrze strzeżony.

W tej chwili do pokoju wpadł, jak bomba, kapitan, za nim wszedł spokojny Montgomery. Kapitan przybył galopem wprost z pola musztry, przypuszczając, że jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo. Gotów był rąbać wszystkich. Paulin Broquet rzekł:

— Chodzi o to, żeby panowie pozostali tutaj przez cały czas, kiedy będą tu bawili odwiedzający chorego.

— A kto teraz ma odwiedzić Simonet'a?

Nowy lokaj w tej chwili zameldował:

— Hrabina d'Ortega i markiz don Martolo zapytują, czy mogą być przyjęci.

Simonet okazał zdziwienie i niepokój.

— Niech pan ich przyjmie — rzekł minister — teraz, kiedy pan już wie o wielu rzeczach, niech pan udaje zupełnie nieświadomego.

Uścisnąwszy mocno dłoń swego kuzyna, wyszedł. Paulin Broquet odprowadził go do drzwi. Tu pożegnał się z ministrem, obszedł całe mieszkanie, dał instrukcye swym ludziom na wypadek nowego zamachu na Simonet'a, poczem, uspokojony, udał się do biura sędziego śledczego po uprawomocnienie aresztowania wicehrabiego, który został przyłapany na szpiegowaniu Simonet'a.

ROZDZIAŁ XVIII.

Automobil, w którym Gabryel i L'Amorce wieźli uwięzionego, pędził przez ulice Paryża, jak szalony. Sidi tak tylko lubił jeździć, twierdził, że szaleńcami sam Bóg się opiekuje. Obok niego siedział jeszcze jeden człowiek z brygady, przydany na wypadek niebezpieczeństwa. Trzymał się mocno, nie kryjąc zresztą obawy, przy ryzykownych zawrotach, gdzie automobil zdawał się toczyć na dwu kołach. Sidi, śmiejąc się radośnie, zadowolony z szalonej jazdy, wołał co chwila:

— Nie bój się, mój stary, wszystko będzie dobrze.

Jadąc wciąż szalonem tempem, dotarli do mostu au Change.

— Za dwie minuty będziemy na miejscu — rzekł Sidi, śmiejąc się — i schowamy dobrze tego hultaja.

Nagle zaklął straszliwie, skręcił gwałtownie i zatrąbił tak, że gruszka gumowa pękła mu w ręku. Byli w środku mostu. Jakiś siwy, zgarbiony jegomość z paczką książek pod pachą, jakiś roztargniony profesor, wie widząc nic i nie słysząc, chciał przejść przez most w poprzek i znalazł się na drodze automobilu, pędzącego z szaloną szybkością. Sidi wyła-

czył motor, zmienił transmisyę i cofnął gwałtownie wóz. Skutek był straszliwy, z tyłu jechał równie szybko inny automobil, którego szofer nie widział, co się działo na przodzie. Dwa automobile zderzyły się, miażdżąc się wzajemnie. Sidi siłą uderzenia wyrzucony został na bruk, to samo spotkało siedzącego obok niego towarzysza. Gabryel i L'Amorce wypadli pokaleczeni wraz z więźniem. Drugi automobil również został rozbity.

Koło miejsca katastrofy natychmiast zebrał się tłum. Sidi po upadku porwał się natychmiast. Jego mocna, algierska głowa zniosła łatwo straszliwe uderzenie. Ale ucierpiał jego honor szofera. Wściekły, zbliżył się do automobilu, który jechał za nim, mając zamiar pogadać po swojemu z szoferem. Zdziwił się bardzo, widząc go o kilkanaście kroków od rozbitego wozu i zmierzającego do innego automobilu. Sidi skoczył i pochwycił szofera za gardło.

— Jakto? — krzyknął — uciekasz? Zostawiasz swój wóz? Poczekaj chwilkę, musisz wyjaśnić tę sprawę!

Dwaj ludzie pośpieszyli szoferowi z pomocą i zaczęła się walka na pięści. Sidi zresztą, widząc przewagę przeciwników, wezwał do pomocy nogi i jednemu z napastników zadał taki cios w głowę, że ten runął na ziemię omdlały. Wówczas Algierczyk zwrócił się przeciw szoferowi, uderzył go głową w brzuch, powalił na ziemię, położył się na nim i począł dusić. Podniesiono go wraz z ofiarą, której nie chciał puścić.

Tymczasem tłum otoczył wóz detektywów i zajął się Gabryelem i L'Amorce, których uderzenie ogłuszyło, prócz tego byli poranieni i krew zalewała im oczy. Podniesiono ich i podtrzymując, odprowadzono na chodnik. Odgrodzono ich od automobilu, w którym tymczasem wybuchnęła i poczęła płonąć benzyna.

Gabryel i L'Amorce, walcząc, wyrwali się wreszcie swym nieproszonym opiekunom i pośpieszyli do automobilu, obawiając się, że więzień tymczasem spłonie. Ale znaleźli tylko portyerę, w której był zawinięty i przecięte łańcuszki. Człowiek-więzień znikł.

W tłumie jeden z przechodniów rzekł do drugiego silnym akcentem amerykańskim:

— Bardzo ciekawy wypadek, prawda?

— *Jes!* — odparł drugi.

Jednym z nich był Will Wilson, drugim Japończyk.

Ale Sidi tymczasem trzymał mocno swego szofera i bronił się zawzięcie przeciw tym, którzy mu chcieli odebrać więźnia. Sidi rozumiał, o co chodzi i wiedział, z kim ma do czynienia. Mając zajęte ręce, wywijał nogami, zużywając cały zasób uderzeń arabskich, kabylskich i paryskich. Wreszcie, gdy ujrzał, że nie da sobie rady z przeważającą liczbą przeciwników, puścił gardło szofera, pochwycił go w pół i zarzucił sobie swego więźnia na ramię, czyniąc z niego tarczę, na którą teraz spadały uderzenia.

Wreszcie nadeszła pomoc, Paulin Brcquet z kilku ludźmi z brygady, Gabryel i L'Amorce. Tłum gapiów, zgromadzony na moście, przeszkodził detektywowi w operacyach, ułatwił zaś ucieczkę wspólnikom Zigomara. Szofer jednak, pobity, ledwie żyjący, pozostał w rękach Sidiego.

— Dobrze, mój chłopcze — rzekł Paulin Broquet. — Nie mamy tu nic do roboty. Wracajmy.

Sidi nie chciał wypuścić z rąk swej zdobyczy i dopiero na rozkaz szefa oddał więźnia dwom ludziom. Wówczas zaprowadził Paulina Brcqueta do automobilu i opowiedział cały wypadek. Detektyw wysłuchał spokojnie, paląc papierosa, poczem wrócił wraz ze swymi ludźmi do biura, gdzie kazał zaraz opatrzeć rany Gabryela i L'Amorce. Sidi był zupełnie zdrów.

— Moi chłopcy — rzekł detektyw — spełniliście swój obowiązek. Więzień nam uciekł, ale mamy zato innego. W rezultacie więc nie jesteśmy pobici i Zigomar znowu zostawił trochę piór na polu walki. Nie trapcie się więc tą przygodą. Jestem z was zupełnie zadowolony i szczęśliwy, że żyjecie i wkrótce przyjdziecie do siebie w zupełności.

Zamilkł na chwilę, poczem dodał:

— Musimy jednak przyznać, że ci ludzie są doskonale zorganizowani i że odznaczają się niesłychaną odwagą i zuchwalstwem. Są wspaniałymi przeciwnikami. Ostateczne zwycięstwo nad nimi nie przyjdzie nam łatwo, ale będzie prawdziwym tryumfem. Co do ciebie, mój dzielny Sidi, więc sądzisz, że widziałeś na moście staruszka, uczonego?

— Tak, panie szefie.

— Pomyliłeś się, mój chłopcze. Był to Amerykanin nazwiskiem Will Wilson. Ten sam, który był owego sławnego wieczora w Operze, ten sam, który dziś rozmawiał na ulicy z hrabiną Wassowia. Hrabina była schowana gdzieś w mieszkaniu Simonet'a, dała znać o aresztowaniu i Will Wilson natychmiast obmyślił i zorganizował napad. Było to doskonale urządzone i wykonane.

Wieczorem, po obiedzie, na który zaprosił Gabryela i L'Amorce, Paulin Broquet chodził po swoim gabinecie, paląc papierosa.

— Czy zabraliście ze sobą Felana, jadąc na moje wezwanie do Simonet'a?

— Tak jest, panie szefie.

— Dobrze. Więc niema wątpliwości. Hrabina Wassowia jest bardzo zręczna, ale nie potrafiłaby



— Panie szefie — rzekł — hrabina jest u siebie.

dać tak szybko informacyi Zigomarowi. Ktoś jej w tem dopomógł, jestem tego pewien.

— I my także, panie szefie.

— I tym kimś jest Felan.

— Tak.

— Trzeba więc z tem skończyć. Opóźnianie kary byłoby z naszej strony naiwnością nie do darowania.

Na drugi dzień rano w biurze detektywa zebrani byli główniejsi jego pomocnicy, między nimi i Felan.

— Moi chłopcy — rzekł do nich Paulin Broquet — podczas wczorajszej przygody na moście au Change aresztowaliśmy człowieka z bandy Zigomara, uciekł nam natomiast główny więzień. W sprawie tej ważne usługi oddała Zigomarowi hrabina Wassowia. Pomagała mu już ona nieraz. Postanowiłem więc pozbyć się tej damy i to nie później, jak dziś wieczorem. Trzeba działać szybko, ale ostrożnie, żeby nie dać hrabinie możności ucieczki lub obrony. Zrobimy więc tak: o drugiej po północy, gdy hrabina powróci do siebie, udam się do jej mieszkania, zaaresztuję ją, sprowadzę po cichutku do automobilu i odwiozę do więzienia. W taki sposób Zigomar nie będzie mógł przybyć z pomocą i piękna hrabina, co do której mam zebrane wszystkie potrzebne dane, znajdzie się pod kluczem, Gabryel i L'Amorce powinni wypocząć przez kilka dni, nie mogą więc wziąć udziału w tej wyprawie. A zatem Herman i Felan zastąpią ich miejsca.

— Panie szefie — rzekł Felan — uczynimy wszystko, żeby usprawiedliwić pokładane w nas zaufanie.

— Dziękuję ci, mój chłopcze... Jestem tego pewny.

Paulin Brcquet wydał natychmiast rozporządzenie.

— Ty, Felan, pójdziesz zaraz do domu, gdzie mieszka hrabina i dostarczysz mi wszystkich potrzebnych informacyi, dotyczących sposobu jej życia, rozkładu mieszkania i t. p. Uprzedzam cię, że będziesz miał zadanie bardzo trudne. Zigomar ma się na baczności, zanadto ceni pomoc hrabiny, żeby jej dobrze nie pilnować. Uważaj więc bacznie i powtarzaj sobie ciągle: „Żeby tylko Zigomar się nie dowiedział!“

— Niech pan będzie spokojny, panie szefie — odparł Felan. — Żeby się czegoś dowiedzieć, musiałby chyba spytać mnie samego.

Paulin Broquet, Gabryel i L'Amorce zrozumieli całą ironię i zuchwalstwo tego powiedzenia. Detektyw jednak roześmiał się, jak z dowcipu. Widział też z tego, że Felan nie podejrzewa, że wiedzą o jego zdradzie.

— W nocy też pójdziesz wraz ze mną i będziesz stał na straży na schodach.

— Dobrze, panie szefie.

Dzień przeszedł na przygotowaniach. Herman i Felan spełnili swą misyę skrupulatnie. Paulin Brcquet zaś przygotował wszystko, żeby udaremnić zdradę. Gabryel i L'Amorce zorganizowali oddział, który miał czuwać nad szefem i obronić go od napadu. Felan zanadto był zajęty, żeby zauważyć te przygotowania. Sam Paulin Broquet w różnych przebraniach był kilka razy w domu, zamieszkiwanym przez hrabinę, by sprawdzić informacye, dostarczone mu przez Felana.

ROZDZIAŁ XIX.

Nadeszła noc. Paulin Brcquet siedział w małej kawiarence, czekając na wiadomość o powrocie hrabiny do domu. Po północy Felan zbliżył się do jego stolika.

— Panie szefie — rzekł — hrabina jest u siebie. Tylko, co wróciła.

Paulin Broquet zaś wiedział, że hrabina miała tę noc spędzić gdzieindziej.

— Dobrze — rzekł spokojnie. — Chodźmy.

Udali się obaj do domu hrabiny. Detektyw zadzwonił, powiedział odźwiernej nazwisko jednego z lokatorów i wszedł na pogrążone w ciemności schody. Felan szedł przed nim. Nagle Paulin Brcquet zatrzymał go.

— Czy masz przy sobie rewolwer, mój chłopcze?

— Tak jest, panie szefie.

— Daj mi go, zapomniałem swego, a może mi będzie potrzebny. Z człowiekiem takim, jak Zigomar, trzeba się mieć zawsze na baczności. Ty nie masz się czego obawiać, tu na schodach nic ci nie grozi.

— Rzeczywiście, panie szefie.

Paulin Broquet wziął rewolwer i szedł dalej po schodach.

— Pan mi powie, panie szefie — rzekł Felan — gdzie się mam zatrzymać.

— Trochę wyżej, nad platformą, gdzie mieszka hrabina.

— To już tutaj, panie szefie.

— Jesteś pewny?

— Naturalnie, o parę stopni wyżej jest platforma i drzwi.

— A! dobrze, pomożesz mi otworzyć drzwi.

— Może lepiej z tyłu, panie szefie, ażebym stał na straży, na wszelki wypadek.

— O tej porze nikt nie będzie przechodził. Które to drzwi?

— Te z prawej strony..

— Doskonale.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Karnawał pod maską: Bal maskowy na lodzie we Lwowie: wjazd królowej Zimy. (Fot. M. Münz, Lwów).



Karnawał pod maską: Z reduty prasy w Krakowie: Jadwiga Mrozowska na tle grupy pierotów.



Karnawał pod maską: Grupa z reduty prasy w Krakowie.

Kronika tygodniowa.

Zdaje mi się, że dwukrotną moją zapowiedź zajęcia się w kronice naszemi sprawami szkół średnich, spotka zupełnie taki sam los, jak i wiele innych, traktowanych bardzo poważnie, a nie po kronikarsku przez nasze c. k. władze rządowe i autonomiczne, posługujące się z taką lubością tak zwanym „szimmlem“ urzędowym. Jedną zaś z jego cech charakterystycznych są „szybery“, czyli przesuwanie niewygodnej sprawy w nieskończoność.

A właśnie i sprawa szkolna stała się dla mnie niewygodną, gdyż teraz dopiero nie wiem, kogo mam zadowolić.

Bo, proszę sobie wyobrazić moje położenie! Gdy onegdaj znalazłem się w pewnym lokalu, gdzie zbierają się „pragnący“... (sam, dodam nawiasem, nic nie piję, uczęszczam zaś tam jedynie w celu robienia inhalacyi z zgęszczonego powietrza)... spotkałem jednego z dyrektorów szkół średnich z prowincyi, który przybył do Krakowa na zakończenie karnawału i redutę prasy.

Rozpoczęliśmy rozmowę od pogody i zjechaliśmy zaraz na politykę.

— Aha! — przerwał mi wywody czcigodny pedagog — dobrze, że sobie przypomniałem! Czytuję bardzo pilnie kroniki w waszem piśmie i zauważyłem tam zapowiedź omówienia piekących spraw szkolnych. Bardzo to ładnie z waszej strony, że się tem interesujecie, prosiłbym jednak, w interesie powagi szkoły, byście dali spokój Radzie szkolnej krajowej i nam dyrektorom... W ten sposób obniża się powagę władzy!... Natomiast, jeśli już koniecznie chcecie, piszcie sobie o profesorach i suplentach. Materyału chyba wam nie braknie!...

Obiecałem, że się nad tem zastanowię.

Los zrządził, że w godzinę później znalazłem się u drugiego „pilzneńskiego źródła“ i natknąłem się przy bufecie na znajomego profesora, który, korzystając również z małych wakacyi i pozwolenia energicznej połowicy, gasił tutaj pragnienie.

Ten, nie zaczepiając o pogodę, wpadł odrazu *in medias res...*

— Szukam was już od tygodnia! — zawołał. — Bójcie się Boga, co wy od nas chcecie?!... Poćóż to pakować kij w mrowisko! Ja wiem, że nasze szkolnictwo średnie pozostawia bardzo wiele do życzenia, ale, mój łaskawco, kto winien?... System winien!... A kto jest twórcą i reprezentantem tego systemu?... Rada szkolna i dyrektorzy!... Jeśli więc nie może już być inaczej, piszcie sobie o nich, a nie braknie materyału, nam zaś dajcie spokój, gdyż my robimy tylko to, co każe władza wyższa, której, jako pochodzącej od Boga, każdy słuchać powinien!

I temu obiecałem, że się nad jego propozycyą zastanowię, ponieważ zaś widzę, że sprawa jest ważną, namyśl musi być odpowiednio długi. Na razie odkładam ją... w każdym razie nie *ad calendas graecas.*

Przyznam się szczerze, że znalazłem się między młotem i kowadłem, chciałbym bowiem zadowolić obie strony, a żadnej się nie narazić.

Gdym właśnie rozpoczął owe rozmyślania nad tem i usiadłem przy biurku, dzierżąc w dłoni *Gazetę Poniedziałkową*, którą od dłuższego czasu otaczam szczególniejszym faworem, padły me oczy na początek kroniki, w którym mowa o trzech horyzontach. Na każdy z nich zwracamy teraz baczną uwagę.

Jeśli zestawimy je w alfabetycznym porządku, na pierwszy plan wysunie się karnawałowy, drugie miejsce zajmie niebieski, trzecie i ostatnie polityczny.

Od karnawałowego też zaczynam i rzecz prosta, lwią część miejsca poświęcić muszę reducie prasy, choć właśnie w tym samym dniu, kiedy ona się odbyła, naliczyłem aż czternaście publicznych zabaw, a i o nich trzebaby choć paru słowami wspomnieć.

Wszędzie bawiono się ochoczo, im mniej zaś było sztucznej reklamy, a także niepotrzebnej etykiety, tem zabawa była weselszą i swobodniejszą.

Zastanawiałem się początkowo, czyby nie urządzić okrężnej podróży po salach balowych, zaczynając choćby od zabawy służby dworskiej (z kotylionem) w sali byłego hotelu Bristol, przyszedłem jednak wnet do przekonania, że to na nic się nie zda, w czternastu bowiem miejscach w ciągu jednej nocy nic nie zobaczę.

Wobec tego podążyłem wprost do Starego Teatru, gdzie już zastałem rozbawione tłumy, pomiędzy którymi przeważały stanowczo rysy wschodnie. Jeden ze sprawozdawców, który potrafił zanotować sto toalet damskich, obliczył statystycznie, iż siedmdziesiąt cztery okrywały ciałka córek Izraela, dwadzieścia sześć zaś należało do innych wyznań.

Wogóle tego roku reduta prasy nie cieszyła się takiem uznaniem, jak po inne lata, być może ze względu na ogólną bryndzę, słyszałem jednak z kilku stron, że tu i ówdzie krzywiono się, gdyż nie jest to właściwie reduta krakowskiej prasy, ale *Nowej Reformy* i *Czasu*, do których łaskawie dopuszczono i *Głos Narodu*. Zapomniano natomiast o innych kolegach po piórze, którzy przecie także umieją się obchodzić z nożycami po mistrzowsku i należą do dziennikarskiej braci.

Swoją drogą ta harmonia, choćby tylko w komitecie balowym, między reprezentantami konserwy i demokracyi bardzo mi się podoba, świadczy bowiem, że, gdzie rozchodzi się o szlachetny cel, tam zapomina się o partyjnych waśniach!

Oby coś podobnego powtarzało się jak najczęściej, nie tylko z okazyi reduty.

Zabawa była na ogół bardzo ożywiona, a poruszano w czasie jej nawet i politykę bałkańską, zwłaszcza, że kilku panów wystąpiło w kostyumach, które uznano jako strój narodowy macedoński. Przypominam sobie, że w czasie mej wędrówki po Bałkanie widziałem coś podobnego w Salonikach.

Inne kostyumy i domina były także piękne, ja jednak nie prowadziłem odnośnych zapisków, kto więc ciekawy, niech zagląda do pism codziennych, a dowie się, czego tylko zapragnie.

Dodam jeszcze, że odbyły się zapowiedziane produkcye choreograficzne przy efektach świetlnych, nie było natomiast owego mocowania, o którem w ubiegłym tygodniu wspomniałem. Widocznie wprowadzono mnie w błąd.

O osobistych spostrzeżeniach nie wspominam, jako bowiem człowiek żonaty musiałbym pochwalić przedewszystkiem swą połowicę, a tymczasem jej tam nie było. Chwalić zaś obce damy, to, przyznam się szczerze, jest czasem dość niebezpiecznem.

Wszystko jednak ma swój koniec, skończył się też i karnawał, który tego roku był bardzo krótki i z pod znaku tańca, przechodzimy pod znak śledzia, który będzie nam najmiłościwiej panować przez całe dni czterdzieści, gdyż nawet święty Józef przypada tego roku w sam wielki tydzień!

Zamiast balów zostaną nam kinematografy i koncerty, których jednak i w karnawale mieliśmy podostatkiem. Największą osobliwością powinna być przecież występująca w Teatrze Nowości Tortajada, fenomenalna, choćby już z tego tylko powodu, że stać ją na takie smakołyki, podczas gdy my możemy się zdobyć co najwyżej na kawałek suchego chleba.

A propos koncertów i kinematografów zaznaczyć muszę z przyjemnością, że nasza sztuka staje na coraz wyższym stopniu rozwoju, kto zaś nie wierzy, niech uważnie ogląda najnowsze ogłoszenia, a przyzna mi racyę.

Weźmy, n. p. afisz kinematografu „Uciecha“ i przypatrzmy się owej sympatycznej buzi, która, jeśli ma wyrażać uciechę, to chyba tego rodzaju, jakiej się doznaje, gdy ktoś przypadkiem usiądzie na rozpalonej do czerwoności blasze kuchennej.

Albo ogłoszenia i programy reduty prasy... Czegoś, bardziej artystycznego, nie wymyślonoby nawet w Kamerunie!

Dajmy jednak spokój sztuce, gdyż bardzo łatwo mógłby mi ktoś powiedzieć, że się na niej nie znam, czyli, że powtórzyłoby się to, co ongiś spotkało mnie z okazyi omawiania humorystyczno dramatycznej fantazyi pana Cezarego Jellenty.

Skłaniam jednak głowę, biję się w piersi i powiadam: Moja wina! Tego rodzaju poezya i sztuka nie przemawia wcale do mojego przekonania!

Drugi horyzont, którym nam się zająć wypada, to niebieski. Robi on nam także dosyć niespodziane, najgorzej zaś spisał się w dniu 2. lutego, czyli w święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Powiada stare przysłowie, że „gdy w Gromnicę z dachu ciecze, zima jeszcze się przewlecze“, czyli, używając wyrażenia góralskiego, jeśli tego dnia mamy odwilż, to niedźwiedź budę poprawia, gdyż spodziewa się jeszcze dalszego ciągu zimy.

Co prawda, to właściwie dotąd zimy jeszcze nie było, ponieważ jednak w niedzielę, dnia 2 lutego padał ulewny deszcz, możemy jej się spodziewać choćby nawet w kwietniu lub maju, chyba, że znów pozwolimy się przepowiedni wykiwać, jak to miało miejsce z świętą Barbarą i Bożem Narodzeniem.

W każdym razie niech to będzie ostrzeżeniem dla P. T. Publiczności, że futer do lombardu odnosić jeszcze nie należy.

Najgorsza jednak historya z owym trzecim horyzontem, tak zwanym politycznym!

Powiadają ludzie, że kronikarz powinien trzymać rękę na pulsie politycznego życia i wiedzieć, co jest, było i co będzie, ja jednak życzę temu, kto tak twierdzi, by „w konia wlazł“!

Konia z rzędem dam temu, kto potrafi, już nie przewidzieć, co będzie jutro, ale bodaj scharakteryzować dokładnie, co było wczoraj, takie wprost sprzeczne wiadomości nadchodzą ze wszystkich stron świata.

To jedno jest pewnem, że polityczny horyzont zasłaniają chmury, z pod Adryanopola słychać nawet grzmoty, zdaje się, że przepowiedziane przezemnie zaćmienie półksiężyca, już wkrótce dojdzie do skutku.

Cieszyliśmy się Enver bejem, w którego wmawiano polskie pochodzenie, dziś jasnem już jest, że to była pomyłka. Turek to, taki sam, jak i inni, zrazów z kaszą, ani flaczków po warszawsku nie miał dotąd nawet w ustach. Swoją drogą jest to człowiek energiczny i z temperamentem, zdaje się jednak, że i on nie pomoże, a panowie Turcy będą musieli wynieść się z Europy do Azyi, choć i tam los ich nie jest pewny.

Spełnić się na nich gotowo stare przysłowie: Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły... Europa zapewniała ich o swych sympatyach, obiecywała pomoc i nietykalność terytoryum, gdy jednak Unia bałkańska zaczęła im garbować skórę, odwróciła się i zapomniała o danem przyrzeczeniu.

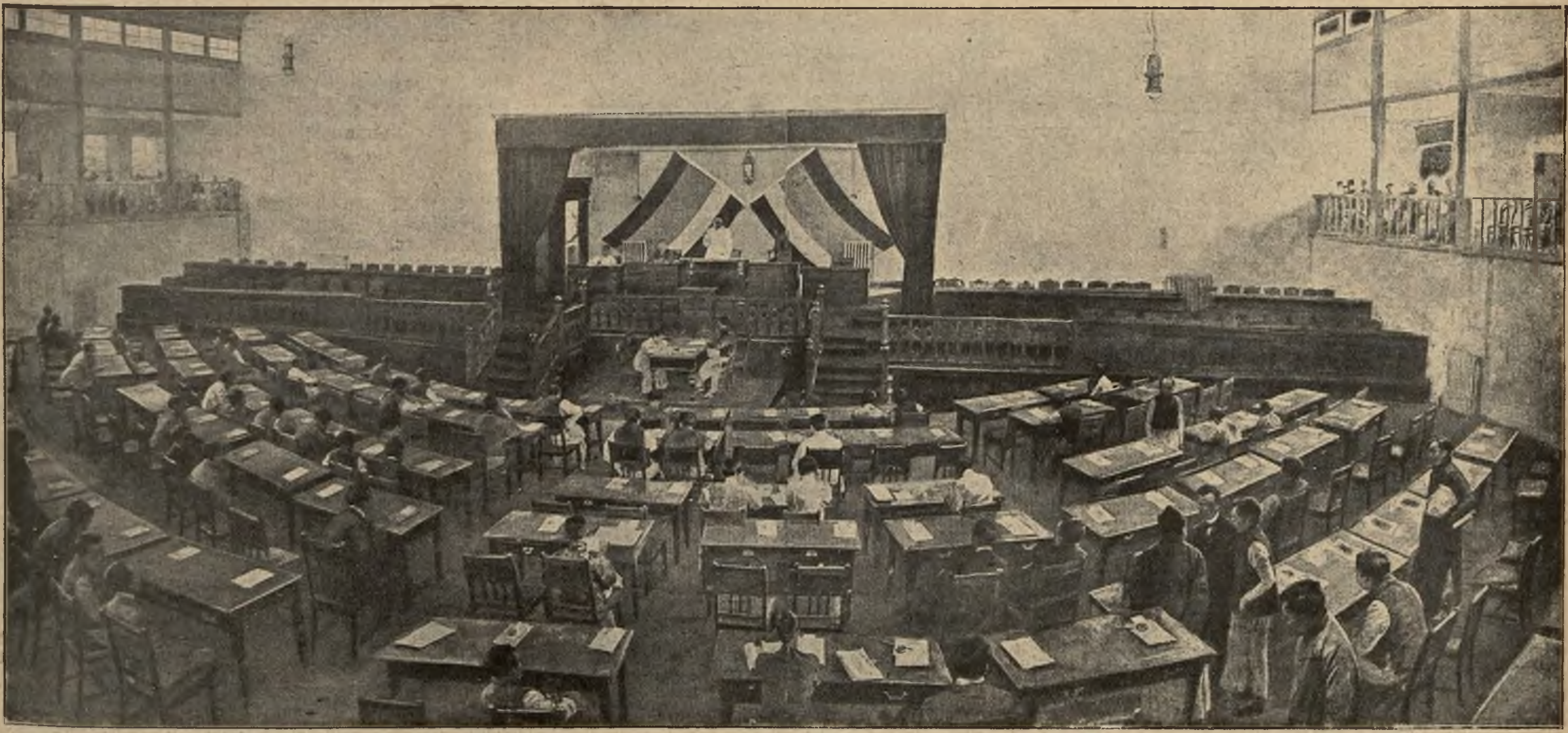
Biedny Turek może teraz mówić: Chroń mnie Boże od przyjaciół, z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę!

Jedną z najważniejszych spraw politycznych, obchodzącą nas bezpośrednio, to uchwalenie nagany przez parlament niemiecki kanclerzowi za antypolską politykę rządu, objawiającą się wywłaszczeniami.

Państwo dobrych obyczajów i bojaźni Bożej, roszczące sobie pretensye do wysokiej kultury i chcące nadawać ton całemu światu, stosuje u siebie takie ustawy, które przypominają bardzo początki średniowiecza. Polak, to w oczach Niemca nie człowiek, ale jakiś wyrzutek społeczeństwa, którego można krzywdzić bezkarnie. Dotąd parlament niemiecki aprobował te zarządzenia rządu pruskiego, który mógł się tłumaczyć wobec świata, że ludność jest za tem, teraz jednak sytuacya się zmieniła, bo ogromna większość przedstawicieli narodu niemieckiego zaprotestowała publicznie przeciw tego rodzaju barbarzyńskiemu postępowaniu.

Co jednak Szwab robi sobie z tego! Nie chciałbym być trywialnym, na razie przecież na scharakteryzowanie go nie znajduję dosadniejszego przysłowia, jak ono stare: Napluj mu w gębę, a on powie, że to deszcz pada!

W innem, naprawdę moralnem społeczeństwie, po wyrażeniu tego rodzaju dowodu zaufania, jeśli nie cały gabinet, to przynajmniej kanclerz podałby się do dymisyi, tam pan Bethmann siedzi cicho i czeka, może jeszcze otrzyma na otarcie łez order, jakiego Mokrego Koguta lub Korniszona z uwolnieniem od taksy.



Odgłosy wojenne z republiki chińskiej: Parlament chiński przy pracy.

Pogrzeb arcyksięcia Rainera.

W dniu 31 stycznia b. r. złożono we Wiedniu według przepisanego ceremoniału zwłoki arcyksięcia Rainera na wieczny spoczynek.

Poprzedniego dnia wieczorem o godzinie dziewiątej przewieziono je z kaplicy pałacowej do kościoła parafialnego w Burgu cesarskim i wystawiono na widok publiczny.

Napływ odwiedzających zwłoki był od samego rana nadzwyczaj wielki, nie było chyba we Wiedniu jednostki, któraby nie chciała oddać ostatniej posługi zmarłemu arcyksięciu, jednej z najpopularniejszych osobistości naddunajskiej stolicy.

Właściwy pogrzeb odbył się popołudniu z wielką uroczystością, przy bardzo licznym udziale duchowieństwa i tysięcznych tłumów publiczności.

Po pokropieniu zwłok w kaplicy zamkowej ruszył kondukt przy dźwięku dzwonów wszystkich kościołów wiedeńskich. Na czele jechał oddział kawaleryi.

W pogrzebie wziął udział jako zastępca cesarza arcyksiążę Franciszek Ferdynand, wszyscy arcyksiążęta i arcyksiężniczki, ambasadorowie i posłowie państw, ministrowie, prezydya i delegacya obu Izb Rady Państwa.

Po przybyciu do kościoła Kapucynów pokropiono ponownie zwłoki, poczem ochmistrz dworu ks. Montenuovo wręczył gwardyanowi klucz od trumny, którą wśród żałobnych modłów umieszczono w krypcie cesarskiej.

Odgłosy wojenne z republiki chińskiej.

Od kilku tygodni obok kwestyi bałkańskiej na horyzoncie politycznym pojawiła się nowa kwestya, bardzo zawikłana i kryjąca w sobie silne niebezpieczeństwo wojny. Mianowicie republika chińska zaczyna się znowu burzyć. Rozmach uzyskany w chwili przewrotu, zaostrzył apetyty nowego parlamentu i rządu chińskiego. Północne prowincye,



Pogrzeb arcyksięcia Rainera: Kondukt przed kościołem OO. Kapucynów.



Karnawał pod maską: Bal kostjumowy na lodzie we Lwowie: taniec pierotów.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Mongolia i Mandżurya, które uniezależniły się prawie zupełnie od Chin, stały się dla państwa chińskiego powodem trosk i niezadowolenia. Chińczycy nie lubią, gdy ich terytoryalnie się zacieśnia, naród bowiem tak liczny potrzebuje ustawicznie ekspanzyi i jak najszerszych granic.

To też parlament chiński, prowadzony przez wodza rewolucyi dra Sunjatsena, jest obecnie bardzo wojowniczo nastrojony.

Jak donoszą telegramy, na granicy Mongolii odbywa się silny ruch wojsk chińskich, który robi wrażenie, jak gdyby Chiny przygotowywały się do wyprawy wojennej.

Nietylko więc Europa ma horyzont zaciemniony chmurami wojennymi, ciążą one także i na niebie azyatyckiem, równie groźne i równie niebezpieczne.

Karnawał pod maską.

„Uśmiech, to maska dla myśli ukrycia" powiada przysłowie, lepiej jednak niż uśmiech kryje nasze zamysły prawdziwa maska, kiedy przywdziana jako strój rozbawionego karnawału, pozwala snuć sieć intrygi i tajemniczych zabiegów na sali balowej. Dawne tradycye maskarad, jakiemi żył ongiś karnawał w Krakowie i Lwowie, zaczynają znowu odzyskiwać swe prawa.

Reduty i maskarady, wprawdzie nieśmiało jeszcze, ale coraz częściej robią konkurencyę oficyalnym balom. W Krakowie zdobyła sobie od kilku lat prym reduta prasy. Stanowi ona zwykle jedną z największych atrakcyi karnawału. Wprawdzie depresya wywołana wojną i jej smutnymi u nas horoskopami nawet maskom spokoju nie dała, tępiąc dowcip i wypróżniając kieszenie, mimo to jednak pełno i gwarno było na reducie prasy w Starym Teatrze. Atrakcyą wieczoru były ślicznie wykonane tańce p. Mrozowskiej, goszczącej na krakowskiej scenie. Artystka wystąpiła w pięknej starofrancuskiej toalecie.

Równocześnie niemal z redutą prasy w Krakowie, urządzono we Lwowie wielką maskaradę na torze łyżwiarskim Tow. Łyżwiarskiego. Wśród tłumu masek, odbył się uroczysty wjazd „Zimy" na wehikule nowoczesnym — „samochodzie". Na torze ustawiono wspaniałą grotę, jako pałac Zimy, a na obszernym torze w blasku ogni sztucznych pieroci i pierotki wykonywali ochocze tańce.

Nagrodę za najdowcipniejszą maskę zdobyła panna Zionówna.

Illustracye nasze przedstawiają z reduty prasy p. Mrozowską na tle grupy pierotów, oraz grupę masek z reduty, z lwowskiego zaś balu wjazd „Zimy".

Japońska mistrzyni pendzla.

(Do illustracyi na str. 4).

Od pewnego już czasu bawi w Warszawie niezwykły egzotyczny gość — z kraju „kwitnącej wiśni", malarka Wakana Utagawa. Przybyła do Warszawy oczywiście nie wprost, przyjechała z Londynu, gdzie zarówno jej obrazy, wystawione w wytwornej Baillie-Gallery, jak gra na specyalnym instrumencie japońskim „koto" (jest bowiem także muzyczką) wzbudziły podziw i zachwyt świata artystycznego. Pochodzi ona, jak prawie wszyscy japońscy malarze, ze starej już „dynastyi" malarskiej, założycielem której był w w. XVIII sławny Toyokumi. Jako młodziutka dziewczyna przybyła sama do Londynu, za całą wyprawę mając kufer. napełniony swoimi kompozycyami malarskiemi i muzycznemi — jako „cudowne dziecko" bowiem od 7. już roku życia tworzy. Zajął się nią artysta i poeta, wielbiciel sztuki japońskiej Artur Morrison i wprowadził w świat europejski. Obecnie od 1-ego lutego otwarto wystawę jej obrazów w gmachu Tow, „Zachęty" w Warszawie. Są to zarówno prześliczne obrazy z życia zwierząt, jak kompozycye rodzajowe. Kierunkiem swej twórczości należy Utagana do szkoły malarskiej naturalistycznej, bardzo popularnej w Japonii.



Nowe zawikłania na Bałkanach: Wojska tureckie z Azyi Mniejszej udają się na linię Czataldży.



Pogrzeb Władysława Bełzy: Ks. arcybiskup Bilczewski prowadzi kondukt pogrzebowy. (Do artykułu na str 7).
(Fot. „Biuro zdjęć fotogr.")

Nowe zawikłania na Bałkanach.

Konferencye pokojowe w Londynie, mimo wysiłków ze strony sześciu mocarstw europejskich, które uczestniczyły w reunionie ambasadorów, zostały zerwane. Delegaci związkowi i tureccy opuścili już Londyn, tymczasem zaś przemówiły znowu armaty.

Wypadki, jakie poprzedziły wybuch ponowny wojny, dają bardzo wiele do myślenia, jeśli się weźmie pod uwagę sytuacyę ogólno-europejską. Turcya po przewrocie, jaki dokonany został przez młodoturków, nagle zerwała z wszelkiemi aspiracyami pokojowemi. Nota mocarstw europejskich, wzywająca do zgody, została przez nowy gabinet odrzucona, a co za tem idzie, wypowiedziano ostatnie słowo w stosunku do Związku bałkańskiego.

Na wiadomość o ujemnej treści odpowiedzi Turcyi na notę mocarstw zebrali się delegaci Związku

na ostatnią konferencyę, na której uchwalili oficyalnie zerwanie rokowań, oraz wypowiedzieli traktat o zawieszeniu broni na 4 dni. To ostatnie wypowiedzenie równocześnie ponowił głównodowodzący bułgarski, gen. Sawow, na linii Czataldży.

niedawno, nieznanego u nas kompozytora holenderskiego, van Eykena.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę sławnej artystki.

jest troska, aby tym weteranom życia zapewnić choć znośny byt do śmierci. Bardzo pożyteczną w tym celu i godną naśladowania instytucyę powołało do życia grono żydów warszawskich, otworzywszy dla swych ubogich współwyznawców „Dom



Przytułek dla starców: Uczestnicy uroczystości otwarcia „Domu Starców" przy ul. Górczewskiej w Warszawie.

(Fot. M. Fuchs, Warszawa).

Z chwilą, kiedy zapowiedziane cztery dni minęły, pod Adryanopolem odezwały się armaty, sypiąc na miasto i forty deszcz ołowiu i żelaza. Wojna na nowo się rozpoczyna.

Pozycya Turków pod Czataldżą jest tak silna, że Bułgarzy wiele sił zużyją na jej przełamanie, to też podobno mają zamiar wywabić Turków na równiny i dopiero zaatakować.

Aby uzyskać przewagę nad przeciwnikiem, Związek bałkański pozawierał między sobą nowe układy, na mocy których Serbia całą swą siłę zbrojną oddała do dyspozycyi Bułgaryi i Czarnogórze.

Tak więc wojna bałkańska rozpala się na nowo. Adryanopol upadnie prędzej, czy później, a co za tem idzie, władza Turcyi w Europie skurczy się do minimum. Czy państwa europejskie spokojnie będą na to patrzeć? Zdaje się, że nie. Rumunia stoi gotowa do zbrojnego zatargu z Bułgaryą i lada dzień obsadzi Silistryę. Za nią zaś stoją państwa trójprzymierza. Widmo wojny europejskiej znowu zaciemniło horyzont polityczny.

Tilly Koenen.

Dzięki Towarzystwu Muzycznemu usłyszy Kraków głośną pieśniarkę, Tilly Koenen, która wystąpi z wieczorem pieśni dnia 7 lutego b. r. w sali Starego Teatru. Tilly Koenen, obsypana hołdem uwielbień, zdobyła sobie entuzyastyczne uznanie zarówno na estradzie pierwszorzędnych ognisk ruchu muzycznego w Europie, jak też i w Ameryce. Jej przecudny głos altowy, przejmujący ponurym kolorytem i głębią uczucia, czyni ją niezrównaną interpretatorką Schubertowskich ballad i wogóle tego rodzaju pieśni, w których obok zupełnego władania techniką głosu, wykonawca wydobyć musi jeszcze inne akcenty interpretacyi, jak umiejętną deklamacyę i właściwą barwę nastroju. W programie Tilly Koenen znajdują się utwory, które znawcom sprawią niezawodną rozkosz estetyczną: ballady Schuberta, pieśni Schumanna, Arnolda Mendelsohna i zmarłego

Przytułek dla starców.

Najsmutniejszą jest chyba dola człowieka, co straciwszy siły w pracy, niema na starość gdzie



Tilly Koenen.

przytulić głowy... W obecnych jednak stosunkach społecznych taki los jest udziałem wielu bezdomnych starców. To też obowiązkiem społeczeństwa

starców". W tym celu nabyto przy ul. Górczewskiej posesyę wartości 60 000 rb., gdzie znajdzie pomieszczenie 40 starców. W tych dniach odbyło się już otwarcie filantropijnej instytucyi, której kuratorem jest dr. Henryk Nusbaum.

Illustracya nasza przedstawia grupę członków zarządu i gości, obecnych na uroczystości otwarcia zakładu, przed „Domem Starców".

Z półek księgarskich.

Nakładem Administracyi *„Najsławniejszych powieści świata"*, Lwów ul. Zyblikiewicza L. 35, zaczął wychodzić w bieżącym roku wybór powieści Aleksandra Dumasa, który rozpoczęto przesławnym cyklem p. t. Trzej muszkieterowie.

Znakomita ta trylogia historyczna w przeciągu kilkudziesięciu lat swego istnienia obiegła cały świat cywilizowany i przetłumaczoną została na wszystkie niemal języki.

Po ukończeniu cyklu „Muszkieterów" zamierza Administracya przedłożyć P. T. Publiczności inne znakomite utwory literatury zagranicznej i rodzimej.

Wydanie jest bardzo wykwintne, pięknie illustrowane.

„Najsławniejsze powieści świata" wychodzą co miesiąca w objętości jednego tomu o około trzystu stronach z 10 miedziorytami. Prenumerata roczna wynosi 33 kor. 60 hal. półroczna 16 kor. 80 hal. kwartalna 8 kor. 40 hal. za egzemplarz oprawny w płótno z barwnymi wyciskami.

Poszczególne tomy można nabywać także osobno po 3 kor. za egzemplarz broszurowany, a po 4 kor. za oprawny.

Ze świata kobiecego.



1



2

2 **Kapelusz,** przybrany fantazyą białą z rajerem.



3

1. **Kapelusz wiosenny** z tafty i aksamitu przybrany fantazyą
3. **Czapka aksamitna,** przybrana kokardą z białem obszyciem z puszku.

Moda w domu.

Kwestya mody nie tylko wtedy występuje na widownię, gdy chodzi o ubranie lub piękny kapelusz. Także i dom jako taki, podlega prawom i przepisom mody, a częstokroć jego urządzenie jest odbiciem lub uzupełnieniem prądów, jakie w dziedzinie mody toaletowej panują. Kilkakrotnie już miałam sposobność pisać o tem, jak w ostatnich sezonach zmieniły się poglądy mody na kwestyę nakrywania stołów, wogóle urządzania przyjęć. Moda pod tym względem bardzo odstąpiła od dawnych tradycyi, a hołdując zasadzie swobody z nudnych, oficyalnych przyjęć stara się uczynić miłe pogadanki, nadając im cechę wszelkiej swobody.

Dzisiaj parę słów chcę poświęcić nowoczesnym pojęciom o urządzeniu domu, zwłaszcza zaś buduaru pani domu.

Pojęcia pod względem tego, co ma przystrajać buduar nowoczesnej piękności, bardzo obecnie się zmieniły. Dawniej był to zaciszny kącik, pełen obić wspaniałych, drogich mebelków, półmrocznych ampl i t. d. Dzisiaj zupełnie on inaczej wygląda. Odstąpił daleko od swego dawnego przeznaczenia, a stał się czemś pośredniem między laboratoryum a pracownią nowoczesnej chemiczki, która jednak nie zapomina, że jest ładną. Pierwsze przykazanie, wedle którego stosuje się urządzenie buduaru, to hygiena. To też kosztowne, ale pełne kurzu tapety z materyi znikły, ustępując miejsca nagim ścianom, powleczonym pokostową farbą, nadającą się do mycia, w kolorze białym. Również usunięte zostały puszyste dywany, a miejsce ich zajął ciemno czerwony lub zielony dywan z linoleum; meble zyskały na trwałości przez to, że nie są już tak filigranowe jak dawniej, a toaleta zapełniona jest dzisiaj zamiast perfumami i pudrami, elektrycznymi aparatami do wcierania i masowania ciała.

Zasadniczo więc buduar nowoczesny, nie zatracając swej elegancyi, stał się tylko bardziej praktycznym.

Nie przeszkadza to jednak, że właścicielki takich buduarów są częstokroć nadal słabymi i wątłymi kobietami, choć moda czyni, co może, aby je tylko takimi nie widzieć. Swoboda sportów wszelkiego rodzaju, możliwa męzkość w życiu domowem, stanowią nowoczesne zasady wychowania oraz wogóle współżycia.

Zwrócić należy jeszcze na jedną rzecz baczną uwagę. Moda dzisiejsza dąży wszelkimi siłami do tego, aby u kobiet zastosować takie ubrania i suknie, któreby możliwie hygieniczny rozwój ciału pozostawiały. Wprawdzie rozwiązanie tego problemu, o ile dotyczy sukien reprezentacyjnych, a więc wizytowych, balowych i t. d., jest bardzo trudnem. Zbyt blisko bowiem owych pomysłów sukien reformowanych jest granica negliżowości ich, ale w każdym razie w domu hygieniczność stroju może być w całej pełni warowaną.

Jestem zdeklarowaną przeciwniczką noszenia sznurówek i uważam, że tylko ostateczna konieczność może kobiecie nakazać ubieranie się w ten straszny pancerz. Tembardziej zaś uważam za nonsens używanie sznurówek przy sukniach domowych. Jeśli chodzi o stronę estetyczną wyglądu, to tę samą misyę, co niewygodny gorset, spełni równie dobrze, a może i lepiej nawet, dobrze skrojony stanik, który ma tę wyższość nad gorsetem, że nie odbiera swobody ruchów.

W

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Zagadka literacka:

Lie.
Urbański.
Dygasiński.
Wyspiański.
Ibsen.
Krasiński.
Kraszewski.
Odyniec.
Niemcewicz.
Dante.
Rodziewiczówna.
Asnyk.
Terpiłowski.
Orzeszkowa.
Wisemann.
Ibsen.
Calderon.
Zapolska.

Zadanie do przestawienia: Lepsza swoja buda, niż cudze pałace.

Zagadka literacka:

Jędza.
Annuncyata.
Cień.
Hrabia na Wątorach.
Olbrachtowi rycerze.
Wilk, psy i ludzie.
Iskry.
Czyste ręce.
Zachwycenie.

Bilety wizytowe: Wachmistrz obrony krajowej. Tercyan szkolny Pianista.

Logogryf:

G
I n n
B r a m a
R o k
A r t u r
L a k
T a l a r
A l i
R

Przysłowiówka: Kupił kota w worku

Łamigłówka:

Tor
rak
zez
ale
cis
inn
tom
oko
sok
typ
noc
kra
lew
iro
śni
bal
nie

Szarada: Parasolka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M Arbesbauer Lwów, H. Kalinowski Lwów, S Stawarski Wiedeń, M. Sadowska Poronin, S Ryglicki Poznań, J. Kamecka Kalisz, H. Mizerska Stanisławów, L Bandrowski Częstochowa, S. Baziak Staszów, J. Maresch Lwów, K. Hoszowski Lwów, M. Gottlieb Sambor, S. Reich Łódź, Z. Dubiel Krosno, W. Pick Warszawa, J. Jahoda Cieszyn, R Majewski Lublin, K. Link Lwów, H. Kamiński Petersburg, J Popiel Mińsk, J. Wilczkiewicz Stanisławów, D. Engelberg Rzeszów, M. Więckowska Warszawa, J. Antosz Sanok, E Stępień Jasło, C. Wang Tarnobrzeg, A. Wojciechowski Kraków, J. Obrzczay Morawska Ostrawa, J Krysakowski Częstochowa, J Beck Opawa, H. Schwarz Warszawa, H Broda Lwów, A. Barnat Złoczów, R Dębicki Lwów, T Nikiel Kraków, W. Potocka Kraków. M Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, F. Nowacki Przemyśl, L. Zapałowicz Wilno, M. Orlińska Lwów, J. Janik Drohobycz, F Blätterfeind Jaworów, M. Kruszelnicki Janów, H Linderska Zakopane, K Malinowska Lwów, S Sokołowski Rzeszów, H Lasocińska Lublin, R Zęba Sandomierz, W Ostrowski Petersburg, S. Mróz Lwów, R Kopystyński Jasło, S Kowalówka Kraków, J Wójtowicz Rzeszów, J Gruszczyńska Kraków, H. Piątek Podwołoczyska, B Gawlik Jabłonów, J. Zaleski Czerniowce, J Strojek Tarnopol, I Brzostowski Podgórze, H. Kapalska Lwów, J. Bałuk Kołomyja, F. Horak Oświęcim, M. Toporowski Lwów, T. Leszczyński Wadowice, M. Trepka Sandomierz, S Bukowski Kijów, M. Maciejowska Winnica, S Karwowski Pilzno. K. Zegartowska Bogucice, K Mann Bochnia, J. Czernecki Kraków, S Lindenbaum Czerniowce, L. Berezowski Nowy Sącz, K Kadulski Oświęcim, S Fijałkowski Jasło, J. Roland Lwów, W. Borkowski Kraków, W. Kwaśniewski Lwów, R. Świrski Piotrków, H. Biesiadecka Kraków, K. Gliński Kołomyja, S Bobrowski Warszawa, A. Dużak Kraków, M Wyka Sambor, K. Dulęba Lwów, M Scholz Kraków, I. Trojacki Wiedeń, T. Chrzanowski Suwałki, E. Niestenberger Sambor, J. Jaglarz Lwów, A Gralewski Kraków, S Kozarska Warszawa, R. Gadomski Zakopane, G. Samlicki Lwów, K. Radoszewski Tarnobrzeg, R Langer Kołomyja, L Aleksandrowicz Płock, A. Lichański Radziwiłłów, J. Topolnicki Kamieniec, S. Niżyński Lwów, W. Zawadzki Tarnów, J. Rosenbaum Rzeszów, T. Kinalski Tarnopol, M. Krawiecki Radomyśl, M. Łapiński Warszawa, J. Zachara Mielec, E Mianowska Lwów, S. Wojakowski Petersburg, M. Klapholz Rzeszów, R. Sperling Wiedeń, E. Dębiński Jasło, I. Błachowski Szczucin, Z. Mazaraki Radom, S Karczmarski Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Biliński Lwów. D. Sedyńska Zakopane. J. Jakubowska Kraków, K Balicki Tarnopol, H Lisowski Kołomyja, P Madejski Lwów, J Gruber Drohobycz, K. Różycki Lwów, J. Wiewiórowski Krosno, A Siatka Kraków, S. Kozłowski Kraków, F Schmidt Cieszyn, A. Trzeciak Krynica, J. Gans Lwów, L. Lisowski Warszawa, M. Cegielska Poznań, J. Galiński Sanok, M. Ligęza Kraków, S. Raczyński Rzeszów, J. Czarkowski Skierniewice, K. Armatys Ulanów, S. Gajewski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Kwaśniewski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

W sali krakowskiej Izby adwokackiej odbyło się w sobotę dnia 18 b. m. konstytuujące zebranie Związku obrońców, stowarzyszenia adwokatów i kandydatów adwokackich. Na zebraniu była bardzo licznie reprezentowaną palestra krakowska oraz całej zachodniej Galicyi

W ożywionej dyskusyi poruszono cały szereg zasadniczych postulatów. pozostawiając dalszą energiczną akcyę wybranemu wydziałowi. W skład wydziału weszli: jako prezes dr. Jan Jakubowski, wiceprezesi dr. Rudolf Frühling i dr. Zygmunt Marek, sekretarz dr Zygmunt Mandel, skarbnik dr. Józef Steinberg nadto: dr. Wiktor Bogdani, dr. Danielak, dr Ekert, dr. Goldblatt, dr. Gutman, dr. Heski. W skład komisyi rewizyjnej weszli: dr Bardel, dr Drobner i dr Zawrzewski. Stowarzyszenie, rozciągające swój zakres działania na cały okręg Sądu krajowego wyższego w Krakowie, przystępuje z całą energią do zrealizowania celów stowarzyszenia, którymi są: ochrona materyalnych i moralnych zawodowych interesów członków, oraz popieranie usiłowań ku rozwojowi ustawodawstwa i zabezpieczenia należytego wymiaru spraw edliwości. Wydział zwraca się z gorącym apelem do wszystkich kolegów, aby jak najliczniej przystępowali, a wszystkie żadania, życzenia i postulaty przesyłali na ręce sekretarza dr. Zygmunta Mandla, Kraków, Pańska 5.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

PROLOG.
RYWALE.

ROZDZIAŁ I.
Nędza.

1

Wśród najciekawszych typów, ilustrujących łacińską dzielnicę Paryża w roku 18.., a więc dobrze jeszcze przed epoką sportów, kolei podziemnej i automobilów, wymieniano przedewszystkiem niejakiego Leona Carboniera, niezbyt gorliwego studenta praw.

Pomimo dwudziestu dwóch lat życia, lichym on był znawcą kodeksu, ale natomiast celował w gimnastyce, szermierce i w walkach na rękę.

Rosły, barczysty, nie miał w sobie nic z przyszłego prawnika.

Jego niewyczerpana wesołość czyniła go arcymiłym towarzyszem, to też fetowano go chętnie po kawiarniach bulwaru św. Michała, dziś wyszłych już nieco z mody.

Z wyglądem Herkulesa łączył on upodobanie artysty, kollekcyonera i literata.

Czas, którego nie spędzał na wykładach, poświęcał na zwiedzanie sklepów różnych osobliwości i antyków, lub też t. zw. brasseryi damskich.

Niekiedy zamykał się u siebie i przerzynał kilka liber papieru na małe kartki, które numerował starannie. Poczem pisał na pierwszej kartce tytuł dzieła, które zamierzał stworzyć i dodawał wzmiankę: „przez Leona Carbonierę".

Trapił przez czas nieiaki własną wyobraźnię, kreślił kilka wierszy, zmazywał je, kartkę darł... poczem schodził na kufelek.

Zdawało się, że ani na chwilę nie zastanawiał się nad tem, że jego wuj, jedyny krewny, jakiego posiadał, przeznaczył go do karyery adwokackiej.

Nagle, wuj ten umarł, czyniąc jedyną spadkobierczynią swoją arcylegalną małżonkę.

Carboniera został powiadomiony, że z tego źródła nic dlań nadal nie wpłynie.

Zamiast pieniędzy, przysłano mu radę, słuszną bez sprzeczki, ażeby zabrał się do pracy i wyrobił sobie pozycyę niezależną, którą miał zawdzięczać wyłącznie samemu sobie.

Młody człowiek znalazł się niebawem sam jeden, bez grosza, oko w oko z egzystencyą, w jednym z pokojów meblowanych na bulwarze św. Michała, co nie jest bynajmniej tak śmiesznem, jak sobie to wyobrażają zacni tatusiowie z prowincyi.

Nie miał żadnych środków do życia, a dumny był!

Jeszcze jedną osobliwość tej potężnej natury stanowiła krańcowa lękliwość w kwestyach pieniężnych. Pożyczanie napawało go wstrętem.

. . . .

W chwili, gdy się rozpoczyna opowieść niniejsza, był w kompletnej ruinie.

Buty, zdarte doszczętnie, otwierały się z przodu i z tyłu, z wybuchu ciągłego śmiechu, nieco zgrzytliwego pod uciskiem kroków.

Rozpaczliwy stan odzieży domagał się skromnego wycofania z życia publicznego i pójścia w zasłużony stan spoczynku, pomiędzy rupiecie.

Carboniera był posępny i unikał oglądania w lustrze swej powierzchowności zgłodniałego atlety.

Wszystkie złudzenia szczęśliwego studenta, wszystkie aspiracye kollekcyonera i pisarza streszczały się dlań teraz w jednej, upartej potrzebie życia doczesnego — jeść!

A gdy głód, okrutny trapiciel, zrzędził mocniej w jego pustym brzuchu, jakże bolesnem było dlań wtedy, przechadzając się po wrącej życiem dzielnicy, czuć zapachy kuchen poczciwych burżujów, szerzące się swymi aromatami aż po ulicę, po której kroczyła jego nędza!

Często przylepiał się niejako do witryn restauracyjnych i pochłaniał wzrokiem wiktuały, zdjęty pożądaniami szaleńca!

Co za męki!

Doszło do tego, że jadał skórki od chleba, sprzedawane na targu Patryarchów na pożywienie królików.

. . . .

Dnia pewnego natknął się na brata w niedoli. Był to rysownik i rzeźbiarz.

Młodzian przystojny, o długich, ciemnych włosach, dość słusznego wzroku i równie ukrywający swą nędzę w długim, wytartym surducie.

Carboniera znał go jeszcze wtedy, gdy mu się dobrze działo.

I obaj biedacy porozumieli się niebawem.

Rozmowa, trwająca parę minut, zacieśniła węzły ich przyjaźni na śmierć i życie, jak oświadczył Carboniera.

— Ja bo — rzekł — zerwałem z rodziną. A ty?

— *Idem nio.*

— Wydziedziczony także?

— Gorzej, wyklęty!

— Ach, tego mi brak jeszcze. Słuchaj, ja bo jestem literatem.

— A ja rzeźbiarzem.

— Ja szukam nakładcy.

— A ja, środka na ukrycie cer na pantalonach. I nie znajduję!

— Ani ja!

— Doszedłem do szczytu bryndzy... czarniejszy od brudu!

— Co do mnie, oddawna już doścignąłem *summam.*

— Parszywa dola!

Ubiór rzeźbiarza przyszłości był opłakany.

Surdut, zapięty aż pod szyję, dopuszczał hypotezę braku koszuli, którą od dawien dawna zastąpił kołnierzyk z papieru.

Marny kaszkiecik mocno wytłuszczony ledwo że utrzymywał równowagę na jego szopie.

Obaj koledzy niedoli zadawali sobie wzajemnie takie pytania:

— Masz surdut jak pierwszy minister, czy i bieliznę masz pod spodem?

— Bieliznę! Kpiarzu, nie pytaj o nieobecnych!

— To nic, jesteś piękny, jak burżuj w święto. Masz, widzę, podeszwy u butów, sybaryto!

— Mam dlatego, że chodzę po trotuarach świeżo asfaltowanych... Asfalt przylepia się do spodów i człowiek uwalnia się od wilgoci na całe trzy doby.

— Tak? Muszę to wyprobować.

— Biedny Carboniera!

— Kochany Monte Leon!

Obaj znali się za lepszych czasów — o co nie trudno — to też spotkawszy się w sytuacyi równie rozpaczliwej, nie mieli wzajem sekretu dla siebie.

Carboniera przywiązał się do przyjaciela, który stał się głową nowego związku.

Monte-Leon potrzebował uzdrawiającej przyjaźni.

Była to natura delikatna i już już o mało nie odebrał był sobie życia, gdy oto natknął się na starego kamrata.

We dwóch łatwiej zdobyć się na męstwo.

Pewnego dnia rzeźbiarz wydawał się zanadto znękany, literat wykrzykiwał na bulwarach jeden z dzienników wieczorowych i zarobił półtora franka jako sprzedawca gazet!

Nazajutrz rewanżował się Monte Leon.

Rozdawał prospekty, za co otrzymał w końcu dnia dwa franki pięćdziesiąt centymów. Był to zbytek!

I tak żyli wspomagając się wzajem.

Raz na tydzień, gdy im fortuna dopisywała, spożywali obiad w „taniaku" i każdy pozwalał sobie wtedy na kartoflankę z baraniną.

W wielkie święta wypijali butelkę piwa na dwóch.

Cóż to za festyn dla zgłodniałych!

Chętnie byliby zaprzedali duszę dyabłu, byle codziennie orgij takich kosztować, ale duch złego nigdy nie dał się wyprowadzić w pole.

Dobrzy ludzie, znający obu przyjaciół, a którym się zdawało, że oni żyją tylko z powietrza, mawiali sobie:

— Dlaczego oni nie pracują?

Łatwo to było mówić. Bo do jakiej pracy zabrać się mogą takie skurczybrzuchy, noszący dyplom bakałarza w kieszeni, jak wyrok śmierci?

Wszystko zamknięte przed nimi i nic się nie otwiera, krom sposobów do łatwych przestępstw!

Niech włożą bluzę — a jeśli nie potrafią być robotnikami, to będą mogli podejmować się roli kopistów lub adresowaczów, t. j. pracować dla tych, co wyzyskują nędzę w surdutach.

Nasi obaj znajomi doszli własnie do takiej konieczności. Pracowali w biurze ogłoszeń i wykonywali kopie kaligraficzne po dziesięć centymów od strony lub opaski z długimi adresami po franku za tysiąc.

W tym ostatnim charakterze zarabiali średnio po półtora franka codziennie.

Życie i mieszkanie zapewnione.

Pół franka lokal, bochen chleba razowego za pięć sous, kupiony w pobliżu koszar, a reszta na inne wydatki. Rzadko kiedy zdobywali się na kartoflankę, o której mówiliśmy co tylko.

Taki żywot (jeżeli można użyć tego wyrazu dla określenia powolnej agonii) pędzi tysiące istot, które konają z krzykiem rozpaczy, lubo natura obdarzyła je świetną inteligencyą, lubo na ustach pieśń miłości miały, a świeżą poezyę w sercu!

Ale oto zabrakło roboty... nawet owych adresów dla reklam. Bywaj zdrów, dostatku nędzy!

Nocą przechadzali się po ulicach, albo sypiali w lasku.

A nadchodziła nieubłagana zima!

Raz, wieczorem, gdy śnieg padał, Monte Leon spostrzegł, że godzą ludzi do zamiatania ulic.

Trzy franki!

Ofiarowano trzy franki!

A biedny Carboniera, ukryty w piwnicy jednego z budujących się domów, chory był!

Trapiła go uporczywa gorączka.

Monte Leon nie jadł nic od dwóch dni.

Trzeba oswoić się z nędzą, ażeby taki stan przetrzymać! Oswajają się niejedni!...

Głód szarpał mu wnętrzności i kurczył go w pół.

Zbliżył się do inspektora, który rozdawał robotę i ofiarował się do zamiatania.

Ten zmierzył go od głowy do stóp, spostrzegł buty bez podeszew, ubiór mieszczanina w strzępach, wycieńczenie, i pokręcił głową z uśmiechem:

— Tu parobka trzeba! — rzekł tylko — ja bo przyjmuję wyłącznie tylko wyrobników.

Monte-Leon odszedł jak winowajca, czerwony ze wstydu, drżący na całem ciele i trawiony febrą.

Nieco opodal przystanął, zaczerpując powietrza: dwie łzy rozpaczy spadły na biały całun grudniowy i zrobiły dwie dziury w śniegu.

Myśl grobu przyszła mu do głowy. Zimno było na ziemi.

Gdy tak pogrążył się w czarnych myślach, mijała go jakaś para.

Był to olbrzymi mężczyzna w ciepłem futrze, prowadzący pod rękę śliczną młodą dziewczynę.

Ona spostrzegła nieszczęśliwego i rzekła smutnym głosem:

— Ach wujaszku, taki biedny człowiek!

Mężczyzna zmierzył Monte Leona i odparł sentencyonalnie:

— Oto, do czego prowadzi lenistwo i występek!

Bywają chwile, gdy pies zabłocony, a biegnący z pustym żądkiem, doznaje wścieklizny.

Odwraca się i gryzie.

Monte Leon był w takim właśnie stadyum.

Litość młodej dziewczyny ścisnęła mu serce, a głupia odpowiedź jej towarzysza zapaliła go wściekłością gniewu.

Ukrył się, biegnąc jak waryat, z podciętemi kolanami, z całym nadmiarem zrozpaczenia.

I wpadłszy do Carboniery, wyznał mu wszystko, co cierpi.

Tamten zerwał się na równe nogi.

— Milion piorunów! — pomyślał. — trzeba to już raz skończyć, to nie ma sensu! Trzeba by coś znaleźć.

— Tak, ale co, co mianowicie?

Carboniera wzburzony chodził po swej piwnicy.

— Mam myśl — zawołał znienacka: — wyjdziemy stąd i poszukamy dwóch policyantów.

— Chyba nic łatwiejszego, jak o szpiclów!... Dość być apaszem, a taki wyrośnie z pod ziemi!

— Pójdziemy za nimi z tyłu i w jednej chwili, obaj razem kopniemy każdego z nich końcem buta.... Cóż ty na to?

— Hm! Pomysł nie ciekawy.

— Nie ciekawy? Czyliż nie widzisz skutków? Łapią nas, odwożą do ciupy, tam dają nam jeść, jest nam ciepło — Eden prawdziwy! Następnie odbywa się sprawa sądowa, my zaś stawiamy kwestyę socyalną... Własność to kradzież, jak powiada Proudhon.

Monte Leon nie zachwycał się wcale.

Jego przyjaciel nalegał:

— To będzie wybornie! Prezes zadaje nam pytanie: „Dlaczego panowie kopnęliście przedstawicieli władzy?“ My zaś, w imię wielkich zasad z 89, odpowiemy: „Społeczeństwo nic nie zrobiło dla nas. Mamy talent i siłę, a nie mamy dachu ni chleba. Otóż społeczeństwo krzywdzi nas, a że policyanci są jego przedstawicielami, przeto kopnęliśmy ich....“

— Nie, trzeba wymyślić coś innego!

— Mówię ci, że przejdziemy do potomności...

— A ja ci mówię, że nas skażą, jak zwyczajnych cudaków.

— Ale co ty gadasz! A lud, a przedmieścia?

— Cóż?

— Zrobi się rewolucya. Społeczeństwo zostanie wywrócone do góry nogami, a po zwycięstwie uczczą nas pomnikiem.

— Wolałbym sam stawiać taki pomnik dla kogo innego. To by mnie zadowolniło.

. . . .

Przyjaciele nie wykonali tedy projektu i dobrze się stało. Nazajutrz co innego mieli już na myśli, przebiegając zlodowaciałe ulice.

Niesteiy, nic nie znajdowali dla siebie.

— Nie będziemy jedli i dziś, jak wczoraj, jak onegdaj — zakonkludował Monte Leon.

— Za to będziemy mogli spozierać w toń nieba — dodał poetycznie Carboniera.

Ale spostrzegłszy błędny wzrok towarzysza, zapytał:

— Czyś ty nie zwaryował aby, chłopie?

— Spojrz tylko — rzekł Monte Leon. — Oto mój pasażer wczorajszy ze swą siostrzenicą. Ach Boże, jaka cudna!

Wypadek natknął ich rzeczywiście na przelotną parę, która tak wielki wpływ wywarła na wrażliwego rzeźbiarza.

Młoda dziewczyna była istotnie ładną; rysy miała nadzwyczaj delikatne, o liniach nieposzlakowanej czystości.

Była brunetką, a włosy jej ześlizgiwały się wzdłuż krzyża w olbrzymim warkoczu.

Jej piękne, łagodne wejrzenie padało na Monte-Leona.

Trąciła wujaszka łokciem, on zaś poznał wczorajszego biedaka.

— Wzięliby się lepiej do pracy, — rzekł tak, aby go słyszano.

Poczciwiec myślał, że młodzi ludzie ulotnią się ze spuszczonemi głowami.

Ale się pomylił.

Wrzący Carboniera postąpił wprost ku niemu.

— Ach! Znajduję pana! — rzekł, jakby odrazu przystępując do rzeczy: — Jużeś wczoraj uraziłeś pan mego przyjaciela... Mówiłeś pan, że powinniśmy się wziąć do pracy?

— Tak, panie, — odparł zaczepiony niezbyt pewnym głosem.

— Otóż! jesteśmy w stopniu bakalarzy, to znaczy, że mamy kwalifikacye do wszyskiego i do niczego. Daj nam pan pracę.

Młoda dziewczyna kontenta była widocznie z ambarasu wuja.

Ten odparł tonem doktorskim:

— Można robić cośkolwiek.

— Bardzo słusznie.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożyła Wanda Rachwalska, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek utworzą nazwisko zabawy, która była atrakcyą tegorocznego karnawału.

—	ó	g
m	—	n
l	u	—
m	—	r
—	o	n
l	—	s
c	e	—
a	—	a
—	g	a
o	—	a
b	z	—

Zadanie królewskie.

Ułożył W. Rachwalski, Bochnia.

Zgłoski połączone ze sobą nigdy nie krzyżującymi się chodami króla utworzą początek znanej polskiej kolendy.

chle	tru	ro	cia	tem	sta	ło	mi
je	moc	dzi	się	wo	się	i	na
nie	pan	ob	Bóg	sło	miesz	ka	dzy
bio	sów	na	blask	a	mi	ło	mię
ny	żo	nie	cie	dzo	ny	ka	wie
o	krzep	mnie	wzgar	ny	o	nad	król
gień	je	ni	skoń	czo	kry	wą	ny
ma	gra	ce	rie	ty	sła	śmier	tel

Wierszyk do odczytania.

Uzupełnił Staker, Kraków.

Podany wierszyk, nic do niego nie dodając i nic nie ujmując, odczytać w ten sposób, by się poszczególne rządki rymowały.

Był sobie Marcinek
Miał siostrę,
Na imię było jej Mania
Gdzie znikła?
Matka robi piekło krzyki
A jej niema.....
Ładna panna co się zowie
„Znalazła się“
Wszystko ucichło w swym czasie
(Mówiono o niej)
Mała ją paliła stopka
Więc uciekła z chłopcem.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: P ó ł s e r a, g a j e, m a k, d o m y, S n e z, d ą b, c u d, b e z.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Miecz. Bański, Liszki.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy podadzą rozpoczynający się obecnie okres czasu.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Prowincya w Azyi. 3. Pałac w Petersburgu. 4. Jedna ze stolic europejskich. 5. Roślina ozdobna. 6. Rzeka w Azyi. 7. Miasto we Włoszech. 8. Owad. 9. Nuta. 10. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych wyrazów wyjąć dwa razy, idąc każdym razem z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

Aleksy.
Wawrzyniec.
Maksymilian.
Agapit.
Emanuel.
Andrzej.
Batory.
Pankracy.
Marek.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Conana Doyle*: Dziwne powieści.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.